Cena 10 zł
(wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego).

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 6 października 1946 r. | Nr 34 (45)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
02015

Ludwik Łakomy

W trzemie międzyborskim

— Czy Wasza Cesarska Mość ma mi jeszcze co do rozkazania? — pyta zgięty wpół dworzanin, który tej nocy w trzemie międzyborskim ma służbę.

— Nic a nic, Arminie; możesz odejść na spoczynek — bezdźwięcznie powiada Henryk i z głębokim westchnieniem wyciąga się na swym pokutniczym łożu. Szeroko otwarte a znużone oczy poglądają w smugę księżycowego poblasku, co płynie z okien, skroś błon ze skóry baraniej, napojonej tłustością. Tyleż blasku, co trzem, ma w sobie znękane serce Henryka Wtórego, władacza najrozleglejszych krain chrześcijańskich.

Noc w nim i noc w okrąg niego. Noc, podobna do wszystkich innych w ostatnich latach, od czasu, gdy z polskim Bolesławem zaczął walkę. Zawżdy, jako i teraz, trzeba długo a długo, w męce niepomiernej, wyczekiwać na sen, który nie chce nadejść, albowiem krew bije do skroni wspominkami uczynków, zamysłów i straszliwych jaw, z których najstraszliwszą iście jest jawa Brunonowa.

Smagłe a nieurodziwe lica Henryka pokrywają się szarością; suchy, kościsty podbródek owłada gorączkowy dygot, czarne, tchnące uporem oczy szybko się chronią pod powieki. Na bladych ustach bolesny szept zakwita:

— Znowu!

Głęboki oddech, zaplot rąk ponad głową, chwila zimnego zastanowienia:

— Kimże był Bruno?

Prawa ręka dąży z potylicy ku wezgłowiu, maca, palcami wyczuwa: grubą książkę, owoc pracy latopisa Dytmara, międzyborskiego biskupa. Wargi, niczym wyuczoną powiastkę, poczynają mamrotać:

„Był ten Bruno moim rówieśnikiem i spółuczniem a pochodzi z najświetniejszego rodu; na niego za łaską Bożą więcej niżeli na innych członków rodziny padł udział zostania wybrańcem bożym miedzy synami. Otóż umiłowanym będąc dzieckiem u swej czcigodnej matki Idy, oddan był przez nią na naukę do uczelni mędrca Geddona i we wszystko, co do jego potrzeb należało, najzupełniej obfitował. Ojcem jego był Bruno podobnie, komes querfurcki, panosza w różnorakich względach na pochwałę zasługujący, połączon ze mną przyjaznym związkiem rodzinnym, z ogółem zaś ludzi związkiem najwierniejszej braterskiej miłości. Otóż kiedyśmy pacholętami będąc nieraz igrali przed uczelnią, Bruno zawsze modlitwie się oddawał. Zatrudnienie ponad próżniactwo przenosząc i tak upładniając się w cnotach, doszedł lat dojrzałości. Cesarz Odon trzeci zażądał i wziął go z sobą na dwór swój, aliści Bruno niebawem cesarza opuścił na samotne w pustelni udając się życie"...

— Do pustelni! — tęskny wzdych podnosi zapadniętą pierś Henryka. — Do pustelni.... — mamrocząc ciszkiem bezkrwiste wargi a rozum roztrząsa, dlaczego zabiegał o godność królewską on, słabowity, kulawiec, syn wiercha Bawarii, Henryka Kłótliwego i chuchrowatej Gizeli burgundzkiej, on, dręczon dziedziczną w swej rodzinie kolką, często zapadający na zdrowiu, częoto przykry swemu otoczeniu, prześladujący podejrzeniami białkę swą, Kunegundę, nie umiejący panować nad sobą a mimo to żądny panowania i dwudziestego piątego lipca 1002 roku obran, taką je poczynający mową:

— „Chociażbym chciał, najpierw Bogu a dopiero wam wszystkim dostatecznych chwalb moich wypowiedzieć nie zdołam. Dlatego odkryję się ja sam przed wami z najskrytszych zamiarów, jakiebym względem was, przy własnowolnej waszej pomocy, dokonać pragnął. Bo jest mi to dobrze wiadomo, jako wiernie królom waszym zawsze i wszędzie okazywać się posłusznymi a nieść im pomoc niezwłoczną było waszą usilnością. Stąd to więc tym większym i moim jest życzeniem was do najwyższych we wszystkich względach godności przeznaczać was miłować a gwoli pomyślności państwa oraz mego własnego dobra was strzec i ochraniać. Byście zaś pewni byli słów tych moich, chcę ich wam, stosownie do życzeń waszych, ilekroć na tym godność moja królewska cierpieć nie może, dowieść czynem: ponieważ nie wbrew woli waszej i zamysłom, ale za waszym przyklaśnięciem i poniekąd przez samychże was powołan, w tym stroju królewskim jawię się przed wami. Waszego prawa zatem nie chcę ja obrażać, aleć przeciwnie, pokąd życia starczy, łaskawie je we wszystkich względach wykonywać: jakoż zaręczam wam, iż dla rozumnej woli waszej zawsze w miarę moich sił, gotowe posłuchanie znajdziecie:".

Henryk pomni, jak po tej jego przemowie z piersi radosnego ludu głos jeden rozgiełczał, „głos czci, chwalby i miłości zarazem", zaczem diuk Bernard wziąwszy włócznię imieniem wszystkich podał ją nowemu władcy, z tym godłem zlecając mu troskę baczności nad rządami niemieckiego państwa.

Henryk pamięta, jak niebawem, po obiorze, spotkał się był z Brunonem; i tak mu w chwili onego spotkania zawiścić począł pustelniczej ciszy, że, opuściwszy siedzisko królewskie pospieszył do eremu, wykonał śluby i byłby został prawym zakonnikiem, gdyby nie rozkaz opata, który mu polecił w blaskach chwały władacza trudzić się gwoli dobra kościoła.

Czy gwoli dobra?

Cesarz wzdryga się na ławie. Zda się, jako by to pytanie wysysało mu szpik z kości, wypijało krew z tętnic, gasiło myśli, unicestwiało czucie i wolę.

Będący od trzech lat cesarzem rzymskim Henryk, będący cesarzem rzymskim, naślednikiem i spadkobiercą olbrzymiego Konstantyna, pobożnego Karła i Odona, któren „mirabilia mundi" zwan, naśledników to mężów nie wie, co się z nim teraz dzieje. Tedy wspomni Brunona a uniósłszy głowę i przysunąwszy Dytmarową księgę do oczu, przy pomocy księżycowej poświaty przebiega błogosławion żywot Apostoła z Querfurtu.

„Po śmierci najchwalebniejszego Odona, za panowania już na ów czas Henryka Wtórego, przybył Bruno do Międzyborza i tamże przysłan sobie z Rzymu paliusz biskupi na rozkaz króla przyjął był od arcybiskupa Taginona. Zaczem gwoli dusznego zysku jął się trudów mnogiej oraz uciążliwej pobożności, chłoszczac ciało głodem i męcząc je bezsennością. Od Bolesława polskiego a także od innych panów mając w darze dobra i pieniądze, rozdzielał je niezwłocznie między kościoły, przyjaciół i ubogich, a nic z nich gwoli swoich potrzeb nie ostawiał. Toż w dwunastym roku swego świątobliwego zawodu do Prus wyszedłszy nie urodzajną tam rolę bożym ziarnem obsiewać począł. Aliści tylko osty wschodziły, tudzież opoczyste obszary nie dały się łatwo zmiękczyć. W końcu gdy na rubieżach rzeczonej krainy i Rusi Dobrą Nowinę Pana Jezu Krysta opowiadał, najpierw wzbronili mu tego krajowcy a po dalszym apostołowaniu wtracili go do turmy i wraz z osiemnastu jego przyjaciółmi dnia czternastego lutego roku Pańskiego tysiąc dziewiątego niewinną pod mieczem meczennikowi śmierć zadali. Niepogrzebane leżały zwłoki tyluż Baranków Krystowych, aż dowiedziawszy się o tym Bolesław stargował je i nabył w przyszłe panowaniu swemu błogosławieństwo".

Henryk zaprzestał czytania dłonia z wściekłości uderzając o księgę. Znowu Bolesław, zawsze ów nienawistny władacz Polan, co krom ziem i ludów nawet najumiłowańszego przyjaciela mu zabrał!

Co się stało, iż Bruno odszedł był od Henryka? Czemu nie poszli społem gdzieś śnić w pustelni, że świat jest szczęśliw a bezgrzeszny, jakim był w dniach stworzenia? Czemuż Bruno odchodząc w podróż bezpowrotną tak okrutne pożegnanie Henrykowi zgotował?

Tedy zdaje się utrudzonemu cesarzowi, że przed nim w głębi trzemu widnieje dziwna stwora, nic posiadająca w sobie nic pospolitego, nie mając ust, a iście cała ustami będąca, a iście skarżąca się boleśnie:

— „Przebóg; nieszczęśliwe dni naszych czasy! O, święty cesarzu, olbrzymi Konstantynie! o, wzorze pobożności, najlepszy chrześcijan prześladuje a prawie nie masz, kto by pogan nawracał?"...

— Jest przecie Bolesław — złośliwie, pobocz Henryka, szepce jużże bez ochyby: Lucifer. — Jest przecież Bolesław, którego Bruno, nie pomnąc wierności, należnej odeń niemieckiemu królowi, miłował. Bolesław rad popiera nawracanie pogan. Chi-chi-chi!... szyderczy śmiech rozdziera mogilną ciszę trzemu.

Dreszcz przenika cesarza od stóp do głowy. Jego odurzone oczy spozierają uparcie w przeciwległą ścianę, jakby ją przewiercić chciały. Spozierają uparcie i znieobaczka — dostrzegają:

Oto skądś z ochy wyłania się druh umiłowany a dzierżąc przed sobą mieczem odciętą głowę przyzywa ręką jakoweś inne cienie.

Ho, ho! Ileż ich to, ile!... Osiemnastu towarzyszy Brunona, pięciu męczenników z Miedzyrzecza i — i Wojciech na ziemi Prusów ubity.

Pomarli gwoli prawdy Jezu Chrystowej bogomodlcy przybyli owo teraz do Henryka, który chciałby wyciągnąć ramiona i mary odepchnąć, aliści — aliści one są ponad nań mocniejsze. Uwieńczon cesarskim diademem Kulawiec musi zdać się na ich łaskę i niełaskę; musi spozierać w te oskarżające oczy przeszywające go niewypowiedzianie straszliwym ciężkim spojrzeniem; musi słuchać, co prawi doń widmo Brunona, widmo, z którego oczodołów ciecze krew z ropą, widmo, właściwie nie mające ust a iście całe będące ustami. Na tych ustach bezgłośny krzyk się plęgnie:

— „Jeśli ktoś powie ci, Henryku, iż tego władcę Bolesława, kocham, iż dochowuję mu wierności i przyjaźni — jest to rzeczywista prawda. Kocham go rzeczywiście jakby własną duszę a więcej od mego życia. Ale biorę za świadka Boga, przed Którym nic się nie ukryje, pozywam na świadka wspólnego Ojca naszego, że miłuję Bolesława gwoli twego dobra, Henryku, i gwoli tego, ile zdołam, pragnę go ku tobie, królu mój miły, skłonić"...

Cóż to było? Dlaczego Bruno taki list napisał? Czy, istotnie, dla tego, że jak przed przyjaciółmi gadał, onże list stanowił wyznanie czystej wiary i czystych przekonań? Lecz jakże mogło być inaczej! Wszakże Bruno pisał tak do Henryka w przede dniu swej apostolskiej wyprawy, z której miał nie wrócić. W obliczu śmierci pisał, z takiej wyżyny, do jakiej rzadko mogą się podnieść — według słów biskupa Eida — nawet najwznioślejsze duchy i najbardziej płonące wiarą serca.

I z tej też przyczyny w duszy cesarza kołacze się niepewność, szamota się lęk,

Fragment z powieści „Ludzie i ziemia"

Perspektywa Odry

Po Zjeździe Działaczy Opolskich w Opolu dnia 22 września — odbył się zjazd Kaszubów w Szczecinie. Zanim omówimy ten zjazd szerzej, nie możemy się powstrzymać od napisania tych paru wstępnych uwag.

Zagadnienie autochtonów polskich na Ziemiach Odzyskanych wciąż jeszcze jest u nas niedocenione. A przecież oni stanowią żywą ilustrację do naszych historycznych prawd do tych ziem, a dopiero potem prawa te wzmacnia rok naszej pracy na tych ziemiach. Bystro podpatrzono to w Anglii. Niedawno w Izbie Gmin padły wymowne słowa: „Szczęściem Polski są skupiska ludności autochtonicznej na ziemiach, położonych na wschód od Odry i Nysy, one bowiem pozwalają nie wątpić w prawo Polski do posiadania tych terenów." Tak, to jest istotnie nasze szczęście. Nie chcemy oczywiście obniżać wagi innych czynników, tak politycznych jak gospodarczych, dzięki którym posiadamy Ziemie Odzyskane, ale czynnikiem najbardziej ważkim jest pradawny mieszkaniec tych ziem, żyjący tam po dziś dzień.

Zatem nie doceniono u nas tej sprawy. Nie doceniono tak dalece, że pozwolono i pozwala się po dziś dzień krzywdzić ludność autochtoniczną. Że trzeba było aż specjalnych ustaw, by ją chronić przed chciwością i bezprawiem, jak gdyby najlepszym jej zabezpieczeniem przed gwałtem nie była zachowana przez nią polskość. Niedocenianie faktu istnienia tej ludności ma swoje źródło w pewnej niedojrzałości politycznej naszego narodu. Pozwala to snuć niewesołe refleksje tym więcej, że znajdujemy się właśnie na froncie walki o Odrę i Nysę.

W komentarzu do Zjazdu Kaszubów Polskie Radio nie mogło nic więcej powiedzieć ponad to, że Zjazd wyraził pełne zaufanie dla Rządu. Tak jakby to było najważniejsze w całym Zjeździe. Fakt, że odbył on się w Szczecinie i że zjednoczył Kaszubów, których nauka niemiecka wielokrotnie usiłowała rozłączyć z Polską, nie został w dzienniku radiowym wykorzystany. Jeśli aspektu tego nie wykorzystamy należycie, Zjazd będzie bez większego znaczenia. Jeśli aspektu tego nie wykorzystamy celowo i głośno — wszak Zjazd ten jest cenniejszą odpowiedzią na mowę Byrnes'a niż uliczne manifestacje — potwierdzimy raz jeszcze swą polityczną krótkowzroczność.

„Łapanki" mają odległą historię. W każdym razie nie są wymysłem minionej wojny. Oto obraz Wojciecha Kossaka „Łowy na ludzi".

krąży niepokój, któren zapadłą pierś jego dreszczem jakowejś trwogi przenika. Zda się, iż wielce znużon, zaczem pod ten czas właśnie musi słuchać przeszywającego niczym ostry grot włóczni, chociaż niemego, krzyku męczennika:

— „Jeśli jednak wolno tak powiedzieć nie tracąc łaski królewskiej: czy jest to dobrze prześladować chrześcijanina a dzierżeć mir tudzież przyjaźń z ludem pogańskim? Co za zgoda Jezu Krysta z Beliaiem; co za porównanie światła z ciemnością? Jako — że się połączą: Swarożyc, z wodzem świętych, waszym i naszym Maurycym? Jakim-że sposobem zgodzą się społem święta włócznia i godła pogańskie, karmione strugami ludzkiej krwi? Czy nie mienisz to za grzech, o królu, gdy świecka głowa wszystkiego strześcijaństwa, co hańba powiedzieć, kroczy przed czarcim godłem demonów a nawet im objaty przysyła? Czy nie lepiej byłoby mieć takiego męża, jak Bolesław, wiernym sobie, jeśli można z jego pomocą i współpracą daninę pobierać oraz święte chrześcijaństwo we włościach pogańskich utwierdzać? O, jakżebym pragnął, żebyś tego, o którym mówię, władcę Bolesława, miał nie za nieprzyjaciela, ale za wiernego sobie! Być to może, iż odpowiesz: „chcę!"...

Nie, o nie! Henryk nie chciał i potąd nie chce, chociaż w głębi serca czuje, iże praw był Bruno pisząc:

— „Trzeba okazać miłosierdzie i odrzucić złość, jeśli chcesz mieć go wiernym; trzeba zaprzestać prześladować, gdy chcesz go mieć rycerzem; trzeba działać za pomocą dobra, aby go ono ku tobie skłoniło. Dlatego strzeż się, królu, aby, jeśli wszystko będziesz czynił przemocą a nie miłosierdziem, które kocha sam dobry Jezu Kryst, iżby się przypadkiem nie rozgniewał na ciebie Ten, Który i teraz pomaga. Nie będęć mówił na przekór, o królu. Niech się stanie tak, jak Bóg chce i jak ty chcesz"...

O, Boże! Co się to dzieje?

Po ścieżce z księżycowego blasku dążą ku Henrykowi: Wojciech z pięciu braćmi z Międzyrzecza i z osiemnastu Męczennikami, wiedzionymi przez krwawą głowę Brunona. Mary podnoszą ku cesarzowi swoje okaleczone lica i wyciągają ku niemu połamane kikuty rąk, obwiązane krwawymi strzępami gałganów, jakby chciały go ująć i powlec za sobą w tę samą mękę, której same stały się świadectwem. Zaczem jawa Brunonowa wzmaga krzyk swój aż do gromowego huku:

— „Czy nie lepiej i mądrzej walczyć z pogaństwem dla chrześcijaństwa, niźli dla ziemskich zaszczytów sprowadzać wojnę na chrześcijan? Jużci: człowiek zamierza, alić tylko Bóg sądzi. Czyżeś nie wtargnął do ziem Bolesława siłą z poganami i chrześcijanami? I cóż się stało? Ochronili Bolesława i święty Piotr, za którego dannika i wyznawcę on się mieni i święty Wojciech, który umęczon za wiarę przez nienawistnych Prusów. Gdyby nie chcieli mu pomóc, nigdy by nie spoczywało w jego ziemi, tych pięciu świętych Męczenników, którzy krew przelali i czynią mnogo cudów grozą imienia Bożego. Panie! nie jesteś ty królem słabego serca, lecz sprawiedliwym i mocnym, co się podoba; chybia ci tylko, abyś był miłosiernym i nie zawsze przemocą, ale i miłosierdziem naród podbić się starał; a tak, co dzisiaj z trzech stron masz wojnę, nie miałbyś z żadnej"...

Pierś Henryka, ściśnięta lodowatą dłonią lęku, głębokim westchnieniem usiłuje się od niego uwolnić, lecz — napróżno: lęk zostaje i nie zmniejsza się; zaczem przepełnia go tak okropna męka, iż nawet krzyk nie przyniósłby mu teraz ulgi. Zwolna i z bezgranicznym wysiłkiem cesarz siada na ławie, wbija oczy w śmiertelnie blade mary, słucha umiłowanego druha, któren prawi teraz cicho, cichuśko, niczym matka, co ohydę zła łagodnie swemu dziecku przekłada:

— „Lecz cóż nam do tego! Niech rozsądzi w swoim rozumie król sprawiedliwy i dobry; niech rozsądzi to i każden dobry w udzielaniu pouczeń biskup, grabia i diuk. Co się mojej, czyli bożej sprawy tyczy, powiem jedno, drugie i nic więcej nie dodam. Oto z powodu ciebie, królu, nowy Kościół zbliska odczuwa zło podwójne: Najprzód wierch Bolesław, któren mocą ducha i ciała gorąco mię zachęcał do nawracania Prusów i postanowił żadnych na to środków nie szczędzić, oto zatrzymanym został przez wojnę, jaką najmędrszy król zdziałał dlań konieczną, spowodu czego pomóc mi w opowiadaniu Słowa Bożego, nie ma ani czasu, ni pieniędzy. Powtóre, gdy Lutycy są poganami i bałwanom cześć oddają, nie natchnął Bóg królewskiego serca, iżby ich dla chrześcijaństwa w chlubnej wojnie pokonać, co podług nakazu Ewangelii znaczy: zmusić do wejścia do Królestwa Bożego. Czyż nie było by większym zaszczytem i większym zbawieniem dla króla, gdyby on i Kościół pomnożył i miano apostolskie u Boga sobie wyjednał pracując nad tym, aby ochrzcić pogan i mir zawrzeć z tymi, co w pomoc idą z chrześcijanami?"...

Henryk potrząsa głową. Wie, że nie wolno dla Królestwa Bożego zapomnieć o ziemskim. Wie, że nie wolno mu zboczyć z drogi, po jakiej stąpa. Trzeba mu iść dalej i dalej, aż do całkowitego pognębienia Bolesława, czemu nie położy zawady gwara Brunonowa. W parciu na wschód cesarz ani na zdziebko czasu nie może się zatrzymać, tym więcej, że nie ma nawet siły, aby się oglądnąć, ni możności, by przystanąć.

Nie i nie! Musi iść drogą, jaką obrał i nikt mu nie przełoży, że źle dąży!

Tedy wyrozumiale słucha szeptu dawno pogrzebanego druha, którego się już nie boi. I lęk w nim zczezł i bojaźń zeń spadła, niczym zawszony łachman nędzarza przed kąpielą w strumieniu. Słucha, wyrozumiale słucha, jak Bruno żarliwie ugwarza:

— „W tym jednak zło największe, iż nie dowierzasz, Henryku, Bolesławowi, ani on tobie, na niego zagniewanemu. Przebóg, nieszczęśliwe dni naszych czasy! O, święty cesarzu, wielki Konstantynie! o, wzorze pobożności, najlepszy Karle! O, czy wiecie, że jest teraz taki, co chrześcijanina prześladuje; a prawie niemasz, ktoby poganina nawracał? Dlatego, o królu, jeśli mir dasz chrześcijanom i za chrześcijaństwo walczyć będziesz z poganami, oto w dniach sądu ostatecznego, gdy wszystko porzuciwszy staniesz przed obliczem Pana, tym mniejszej doznasz boleści i tym większą uczynisz radość, im więcej będziesz mógł wspomnieć dobrego, któregoś zdziałał. Czyli więc królu, nie strachasz się o wiarę, gdy pomny złego łączysz się z poganami? Nie żądaj tylko rzeczy niepodobnych: inaczej, jakże chcesz, aby do zgody przyszło? Bolesław zapewnia, iż na wiek wieków cię nie opuści, iż w pokonywaniu pogan zawsze ci będzie najgorliwiej pomagał i we wszystkim chętnie ci służył. Ileż dobra stało by się w nawracaniu pogan i w straży nad chrześcijaństwem, gdyby syn Bolesław żył z tobą, naszym władaczem, jedyną nadzieją świata, w dobrej zgodzie, tak, jak żył jego ojciec Mieszko ze zmarłym cesarzem"...

— Nie, nie mogę się z nim pojednać! Nie, nie wolno mi się z nim zapogodzić! — ciska Henryk w odzewie krwawej głowie Brunonowej, która nie przestaje nalegać i dalej prawi:

— „Cokolwiek możesz zdziałać mową albo pomocą w nawracaniu Prusów i Lutyków, nie przestań tego czynić, ponieważ ku nawracaniu serc tych właśnie pogan zwraca się teraz nasza praca i musi spełnić się za pomocą Ducha świętego i walczącego Piotra"...

— Spełni się — odrzecze chmurnie Henryk — lecz nie rychlej, gdy hen, na wschód wyprę cały szczep słowiański; przygniotę i zdepczę go ciężarem zbroic żelaznych, aby już nigdy nie powstał głosząc w niewoli chwałę germańskiego oręża i stając się nawozem pod przyszłe lęchy nowych dziedzin olbrzymiego i świętego cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego!

„... jestem przekonany, że szczep nasz języka niemieckiego, obejmujący połowę kraju (tj. Śląska — dop. nasze), przywędrował tu czyli napływał zwabiony handlową korzyścią, możliwą u sąsiadów, gdzie były kosztowne futra, skóry, dalej bydło, wosk, miód, mydło i ołów w wielkiej ilości. To zwabiało z czasem coraz więcej przybyszów... Że jednak kiedyś Polacy posiadali Śląsk cały, pokazują prócz języka, wciąż jeszcze dobrą część Śląska opanowującego, ich książęta; że byli oni Polakami, o tym świadczą szczepy sąsiedzkie, Czesi, Sarmaci, Łużyczanie, mówiące wspólnym wandalskim językiem; o tym świadczą stare nazwy miast, jak Brieg, co w ich języku „nad brzegiem" oznacza, albo Striegau, właściwie Stregor, który nazwę posiada od trzech z miastem sąsiadujących gór, tak też Jauer, tak i wiele innych; są też miasta nazwane od wandalskich imion Wratysława i Bolesława."

(Bartholomeus Stenus: Descripcio tocius Silesie et civitatis Regie Vratislaviensis. 1512 — 1513. Cyt. według wydania wrocławskiego z r. 1902).

Ludwik Hieronim Morstin

W nadodrzańskiej puszczy

Wizja sceniczna w jednej odsłonie (fragmenty)

TEOFILOWI TRZCIŃSKIEMU
Pierwszemu Dyrektorowi Teatru Polskiego
we Wrocławiu
Miłośnikowi i odtwórcy poezji dramatycznej

Rzecz dzieje się w okolicach Wrocławia w wieku XIII w Noc Świętojańską.

Wystawiono po raz pierwszy we Wrocławiu dnia 9 czerwca 1946 roku.

(Wychodzi Henryk IV, książę wrocławski, za nim rycerze i niewiasty, zwane tu Białkami)

HENRYK:

Po uczcie mile zażyć chłodu.
Zapraszam was na przedsień grodu.
będziemy patrzeć w dal siną i modrą,
gdzie cud zachodu przed nami się stawa,
gdzie na błękitach pręga zorzy krwawa
słońce umiera nad Odrą.
Dzisiaj jest wilia do świętego Jana
i święto Słowian.
Zapłoną ognie dziś na wszystkich wzgórzach
i niebo w szarfy ustroją płomieni.
Wy piękne Białki usty różanemi
pijcie tę wonność wieczoru
jak miód z plastru.

BIAŁKI:

Książe...

HENRYK:

Jest niebo konchą alabastru,
jak muszla wyłowiona z Czarnomorza,
którą nam ruscy przynoszą handlarze,
co przed zagonem tatarskim tu uszli.
Za chwile błysną perły na dnie muszli — — —
gwiazdy. Tak z mrokiem jasny dzień się zwiąże
a my będziemy patrzeć na te gody.

BIAŁKI:

Książe, ach książe...

HENRYK:

Słońce skamieniałe,
w żywicy morza wielki głaz bursztynu
przyniósł mi wczoraj żeglarz ze Szczecina.
Kazałem czarę z niej krągłą utoczyć,
czarą tą czerpnę z stągwi strugę wina,
co jest jak płomień miłości gorące
i pić z niej będę wam na cześć i chwałę
i słońce niebios żegnać ziemi słońcem.

RYCERZ:

Książe, ty nie chwal naszych skromnych białek,
bo jak ten rumak z cugli wypuszczony
staną się zbytnio dumne i zuchwałe.

HENRYK:

Wierz mi, błąkałem się długo po świecie,
byłem w niejednej bogatej krainie,
widziałem mnogo niewiast urodziwych,
słodkie princessy Italii słonecznej,
niemieckie dumne i zimne grafinie,
węgierskie młódki, jak dojrzałe śliwy,
o skórze ciemnej i niezwykle gładkiej,
mocnym i słodkim upojone winem — —
i pulchne Czeszki księcia Ottokara
i ruskie kraski, perłami dzwoniące,
co mają usta czerwone i wąskie,
lecz najpiękniejsze nasze białki śląskie.

BIAŁKI:

(w zachwycie)
Książe, ach książe...

RYCERZ:

Spokojnie, spokojnie.

HENRYK:

Jutro o świcie ruszamy na łowy,
konno przebiegnę nadodrzańskie puszcze,
na zwierza sforę dzikich psów wypuszczę,
w zamek przyniosę wielkie głowy turze
i las jelenich rogów rosochatych.
Dzisiaj na żywe pragnę patrzeć kwiaty,
jak podmuch wiatru igra z waszym włosem
i z cienkich nitek zwilżonych przez rosę
snuje około głowy złotą przędzę.

BIAŁKI:

Książe, ach książe...
(pachołkowie wnoszą wino i nalewają księciu puchar)

HENRYK:

Piję zdrowie wasze.
Mój astrologus wyczytał w nieb księdze,
dziś mi to z wielką radością oznajmił,
iże z konjunkcji dwóch największych planet,
wypadek w niebie ponoć nadzwyczajny
widać, że idą czasy karbowane
dawno na laskach wieszczów i wróżbitów
dla ziemi Śląskiej i dla Polski całej,
wiek krwi i bojów, potęgi i chwały,
a dla dynastji naszej orłobiałej
możność spełnienia czynów i przeznaczeń
jakiej od wieków wielkich Bolesławów
jeszcze nie było. Tak mi dziś tłumaczył
ten starzec mądry, uczciwy i prawy,
który zna dobrze niebios tajną księgę.

RYCERZ:

Jeśli nie zełgał, niech mu Bóg da zdrowie

HENRYK:

Teraz by miło było słuchać pieśni...

* * *

HENRYK:

(do starego rycerza)
A wy zostańcie ze mną wojewodo.
Wierny piastowski sługo, chodź mój stary,
spojrzymy na tę ziemię naszą śląską,
która się do snu kładzie. O minionej
sławie będziemy śnić i wskrzeszać mary.
Byłeś u boku dziada pod Legnicą,
kiedy rycerstwo wiódł na bój z Tatarem.
Na kosookie Mongoły zagony,
kiedy ruszyły z krzyżem, znakiem wiary
polskie zastępy — — pamiętasz...

WOJEWODA:

Pamiętam,
Na wielkim polu stos żelaznych kruszyn,
zbrój połamanych, tarczy i pancerzy.
A strzał pierzastych śnieg, co z nieba prószy
i śmierć mojego pana, który uwierzył
w cud i zwycięstwo — —

HENRYK:

Krwią się piszą dzieje,
rwie się do sławy nasze lackie plemie,
krew z żył, jak z konchy miód, na ziemię leje...
A pradziad Chrobry — jak prał Niemców tęgo
i jak graniczne słupy bił na Sali,
słyszałeś o tem?

WOJEWODA:

To wie każde dziecko

HENRYK:

A pradziad Śmiały z jaką szedł potęgą,
choć wicher jemu w oczy dął...

WOJEWODA:

I zwalił

HENRYK:

Dziś jego wnuka chcą zrobić wasalem
niemieckie knezie. Żem im dotąd skłonny
cieszą się wcześnie. Ale nad cesarzem
jest jeszcze inna władza — — Rzym studzwonny!
Rzym mi koronę przyśle.

WOJEWODA:

Jest w Krakowie
ciało biskupa porąbane mieczem,
koronę przeklął Rzym...

HENRYK:

A Polska cała,
nie jedno ciało biskupa kalecze
będzie do Rzymu wołać o swe prawa.
Zbyt długo jątrzy się ta rana krwawa,
ciało zrośnięte przynieśli orłowie,
te ptaki, które krwią się zwykle sycą.
Był cud! I Polska też się cudem zrasta.
Kraków, Sandomierz w cieniu mego miecza,
Wrocław królewską uczynię stolicą
i będzie jedna, wielka Polska Piasta.

WOJEWODA:

Książe, ty snujesz zamysły ogromne.

HENRYK:

Mój lud jest ze mną, ja mam miłość ludu.
Nie ostre miecze i kopije łomne
świat zdobywają, ale moce inne.
Widzisz, tam starzec w białym kitlu stoi,
z dziewką latami smutku osiwiały,
i lud gromadzi się dziś w czarnym borze,
wróża ognisko ogromne zapali
z igieł jodłowych i zeschniętych choin
i będzie wróżyć mnie i mojej ziemi.
Ja idę do nich.

WOJEWODA:

Książe, czy się godzi
w takie pogańskie wierzyć zabobony,
bardzo się o to gniewają biskupi.

HENRYK:

Księża w kościołach niech śpiewają modły.
Gdy chcę to mogę sto mszy u nich kupić,
lecz tam, w tym borze, kilkowieczne jodły
szumią potężniej niż świątyń organy.
W taką noc dziwów, jak w płuca aniołów
wicher natchnienia dmie lecąc z zaświata
w smutną dolinę ziemskiego padołu.
Księżyc promieniem w liście drzew się wdrąża
i pod pniem każdym wielka, srebrna blacha
na szacie z darni. A to srebro liże
pasący się tam zwierz, któremu z czoła
wytryska rogów złocista fontanna.
O wierz mi, tam jest człowiek Boga bliżej
niźli we wszystkich chrześciańskich kościołach.
Stare obrzędy słowiańskie i kmiece
dziś świętojańskie sobótki zapalą,
noc świętą muszę spędzić z moim ludem.
Już przyszli po mnie.
(Starzec i dziewczyna podchodzą i obejmują księcia pod kolana starym, chłopskim zwyczajem).

* * *

CHOR STARCOW:

I cóż się z nami stanie, z ludem naszym?

WRÓŻA:

Głęboko wrasta, jako dębu korzeń
w ziemię swą twarde, mocne plemie Lasze
Widzę jak dalej nad Odrą się mrowi,
choć miecz płomieniem ich zagony orze
i widze starców wspartych na kosturze
tkwiących wśród gruzów swych chat nieruchomie
i mężów śpiących na wilczycy skórze
w pieczarach leśnych, lub na skalnym złomie,
dziewki ścielące swe miłosne łoże
na mchu i trawach, obok zwierząt dzikich,
widzę niewiasty, które w bólach z krzykiem
rodzą na garści słomy swych mścicieli
i widzę matkę, co się mlekiem dzieli
z dzieckiem swym własnym i siostry zabitej,
a rosą, którą zsyłają błękity
odwilża usta pragnieniem zeschnięte.

CHÓR STARCÓW:

Wielkie nam wróża opowiada dziwy,
będziemy żyli smutkiem i lamentem.
Bóg nas opuści i pójdzie z wrogami
a pokolenia za pokoleniami
będą do mogił kłaść się do tej ziemi.

HENRYK:

Co się ma spełnić niechaj się dokona,
człowiek jest tylko miotanym okruchem
przez wichr zaświatów. Co widzisz w płomieniach
mów, co ci rzekły twe posępne duchy,
co na tej ziemi będzie za lat tysiąc?

WRÓŻA:

Twój sztandar z orłem białym wielki królu,
coś jest królewski swej myśli wszechwładzą,
choć jeszcze w ziemi rdza gryzie twe berło.
Bo miną czasy sromoty i bólów,
łza co z ócz tryska płynąc po pancerzu
w klejnot się zmieni i zabłyśnie perłą.
W mosiężne rogi radośnie uderzą
zwycięskie roty wszystkich naszych plemoin,
po mrokach nocy zaświta dzień Słowian
by jasnym słońcem zabłysnąć nad ziemią,
mistrzyni dziejów co kreśli swe runy
na głazach wieków, każe ryć od nowa
napis zatarty ścierając piorunem,
gdy krzyk o wolność będzie ludów krzykiem.
Strudzeni ciężkim bojem wojenniki
do grodu wniosą orły na swych tarczach
i białe chusty czerwień krwi poplami
a pokolenia za pokoleniami
będą swych synów przepisem obarczać,
by na tej ziemi niezłomnie przetrwali.
Stanie się wielki szum i zgiełk nad Odrą,
popłyną wieńce na spienionej fali
i serca ludzkie na strzępy się podrą
z wielkiej radości, tryumfu i chwały.
Trawą zarosną mogilne kurhany
a Wrocław Piastów gród umiłowany
cały spowity w sztandar orło-biały
sercem kamiennem, które wrogi straszy
będzie na wieki strzegł potęgi naszej.

(Książe miecz podnosi w górę)

ZASŁONA — — KONIEC!

Nowe wiersze Jana Baranowicza

Łąka skowronków

Trzepocą się kruche skowronki
trzepotem wodnych łątek,
gdy w letnie zapuszczam się łąki,
tęskniący za czymś świątek.

Pisklęta — bezpióre ślepce
w traw gnieździe na przekopie! —
Nie skrzypię buciorem, co depce,
zaskrońcem ócz nie tropię.

Serce me bzom, odartym z łyka,
pasterkom, co ścielą się gdziebądź,
ludziom, od których dzień odwyka,
przeoczonym przez niebo.

Do latarń rdzawych przy drodze,
po służbie wieloletniej,
uśmiecham się, kiedy przechodzę
i współczuję najsmętniej.

Ponad śmietniskiem namiot z dłoni
rozpinam najbezdomniej,
żeby niczego nie uronić
z ewangelii wspomnień.

W włosach mych grzęzną biedronki.
Otarłem z kurzu obuwie.
Cieniuję bladą twarz słonkiem
i do skowronków mówię —

Kwiląc, skowrończe krążą grudki
w błękitu synagodze,
gdy wąską miedzą wraz z mym smutkiem
niepotrzebny odchodzę. — —

Słoneczniki

Ogródek ugrzązł w niszy hałdziska. Kotlina
na pięć grządek się łamie. Pięć bruzd ma na przedział
Do czekolady barwą podobna, że ślina
w język łechce — tak jakbyś w kawiarence siedział.

Wszystkiego tu potrosze. Ćwikła. Szczaw. Truskawki.
Żywe menu — dla źrenic niźli dla ust raczej.
Ktoś zaczął gospodarkę od brył i od ławki.
I pewnie w samotności kocha się prostaczej.

To zapłocie majątku nie sporzy nikomu,
widoczne z niewidocznym wiąże jak nić wstążki.
Tu by pewnie Andersen, zjadłszy obiad w domu,
uciekał — uśmiechami malować swe książki.

Wieczorne ćmy tu goszczą noce w gwiezdnych paltach.
Dziki królik w lebiodzie rozesłał swój biwak.
Zdala ludzie-dniówkarze błądzą po asfaltach,
ważąc mnie cierpkim sądem: — włóczęga lub dziwak.

Jak powietrza chłód wonny wdycham mit jesieni
po astmatycznym swądzie letniego gorąca.
Czas odmierzam pogodą, co się stąpać leni,
i tarczą słoneczników, co krążą w trop słońca. —

Z Muzeum Śląskiego w Bytomiu

ŚLĄSKA SZTUKA KOŚCIELNA. Z lewej Madonna z około 1480 r., przypisywana Witowi Stwoszowi. Prawdopodobnie jednak wyszła spod dłuta wrocławskiego ucznia Wita Stwosza. Z prawej: Madonna z Boguszowic ok. r. 1445.

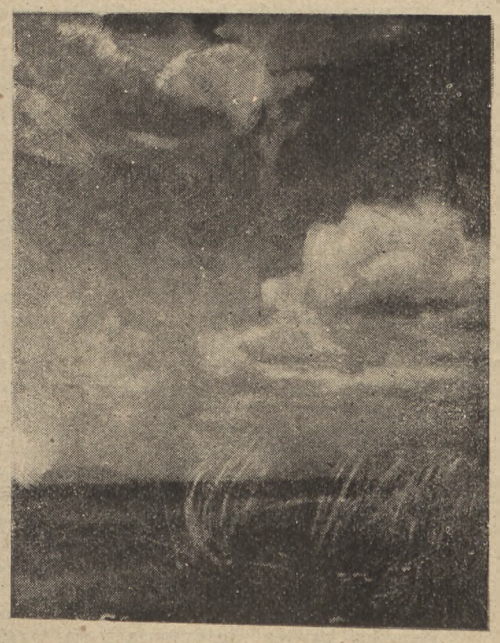

GALERIA OBRAZÓW MALARSTWA POLSKIEGO XIX i XX w. Jan Stanisławski: Chmury (olej) oraz Piotr Michałowski: Amazonka (olej).

Kronika słowiańska

List z Pragi z pytajnikiem na końcu

Wspaniały czynnik propagandy dominuje w każdej dziedzinie życia czeskiego, a że w Czechosłowacji literatura i literaci są jakby pierwszym heroldem, pierwszą forpocztą na froncie tej propagandy, nie od rzeczy będzie zapoznać polskiego czytelnika z pewnymi przejawami w tym kierunku. „Odra" przyniosła już króciuteńkie sprawozdanie o pierwszym powojennym zjeździe pisarzy czeskich, ale nie podała wielu ciekawych szczegółów, które przymierzone na stosunki polskie, brzmią wprost fantastycznie. Szczegóły te przytaczamy z tygodnika „Kulturni Politika" wychodzącego w Pradze. (Choć od wspomnianego zjazdu upłynęły już dwa miesiące, wracamy doń, gdyż czytelnik polski napróżno chciał się czegoś o nim dowiedzieć z polskiej prasy literackiej.

Sprawa jest tym więcej aktualna, że stoimy przed podobnym zjazdem pisarzy polskich).

„Pierwszy zjazd czeskich pisarzy wzbudził wielkie echo i wśród szerszego społeczeństwa czeskiego, dlatego przypuszczamy, że nie będzie od rzeczy, jeśli na tym miejscu podamy niektóre z organizacyjnych szczegółów, o których poinformował mnie Syndykat czeskich pisarzy. **Zjazd przygotowały dwie specjalne komisje: organizacyjna i ideowa.** Pierwsza z tych komisyj odbyła cztery posiedzenia, druga trzy — obydwie komisje razem obradowały dwa razy. Zarząd i prezydium Syndykatu poświęciły zjazdowi 5 posiedzeń, prócz tego odbyto jedno posiedzenie z komisją prasową, jedno z dziennikarzami, z filmowcami i z czeskimi pracownikami radiowymi, a z drugiej strony z przedstawicielami prasy zagranicznej. Odbyło się także posiedzenie referentów zjazdowych. Udział w zjeździe zgłosiło 752 pisarzy z tego tylko 85-ciu pisarzy — o dziwo — spoza Pragi, jako członkowie Syndykatu. (Jak wiadomo Syndykat czeskich pisarzy posiada aż 1280 zorganizowanych członków! — przyp mój). Prócz tego w zjeździe wzięło udział kilku gości między in. pewni pisarze słowaccy na czele z **Laco Novomeskym** (Novomesky jest prezesem „Slovenskego Spolku Spisovatelu" w Bratysławie — przyp. mój), dalej brał udział **Egon Hostovsky,** który przyjechał z USA, **Claude Morgan** i przypadkiem bawiący w Pradze jeden z pisarzy fińskich oraz jedna duńska autorka. Dotąd o zjeździe pojawiło się przeszło 200 artykułów w prasie, filmie i radio. (Jedna z amerykańskich agencyj filmowych wyświetlała we wszystkich kinach amerykańskich zdjęcia z przebiegu zjazdu! — przyp. mój). Prócz wstępnej mowy prezydenta republiki, wygłoszono na zjeździe 16 referatów, w debatach brało udział 35 mówców. Ze zjazdu odesłano 15 telegramów (na pierwszym miejscu był telegram do szowinisty Bezrucza! — przyp. mój) i listów. Koszta zjazdu wynoszą około 350.000 koron. (W stosunkach polskich wyraża się to kwotą przeszło 1 miliona złotych — przyp. mój.).

Urzędnicy Syndykatu poświęcili zjazdowi 750 nadliczbowych godzin pracy, za którą prócz specjalnego urlopu dostaną 19.204,20 koron. Załatwiono w tym czasie 863 numeracyj protokołu."

Wiele uwag i spostrzeżeń wywołuje **sprawa kulturalnej współpracy słowacko-czeskiej.** Mimo pozornych objawów serdeczności, panuje w tym sektorze w ostatnim czasie oziębłość. Jeszcze nie tak dawno wydawało się, iż Spolok slovenskych spisovatelu w Bratysławie połączy się w jedną organizacyjną całość z czeskim Syndykatem pisarzy w Pradze. Tkwi nam jeszcze w żywej pamięci „wielka galówka" słowacko-czeska, urządzona w jednym z teatrów praskich, gdzie dano premierę sztuki młodego słowackiego autora Karwasza. W spektaklu brali udział premierowie, ministrowie, eminencje, ba — przyjechało nawet kilku literatów słowackich — słowem przez forpocztę literacką miało dojść do zupełnego zbratania. Ale jakoś nie doszło. Później więc nastąpiła wymiana zdań między literatami (Syndykat) czeskimi i słowackimi (Spolok). Między innymi postanowiono, że w prasie słowackiej czescy literaci będą publikowali swe utwory w języku czeskim a Słowacy w języku słowackim w pismach czeskich. Czesi, trzeba to bezstronnie przyznać, w tym wypadku dotrzymali słowa... ale pisma słowackie wszelkie utwory czeskie przesłane do prasy słowackiej... pozamieszczali, lecz... w przekładzie słowackim. Z tego znowu wyniknęły dąsy. Rozluźnienie jest dzisiaj bardzo widoczne. Na zjazd pisarzy przybyło kilku pisarzy słowackich... ale tylko jako goście, goście z własnego państwa.

Kilka miesięcy temu z łamów czeskiej lewicowej prasy literackiej padały różne inwektywy o kolaboracjoniźmie pod adresem pisarzy słowackich. Wiele w tym było demagogii, dzisiaj coraz częściej pisze się w Czechach o pisarzach słowackich z większym szacunkiem, zaczyna się dostrzegać ich dorobek za ostatnie lata, który przedstawia się dosyć pokaźnie. Wykryło się, że wybitny pisarz słowacki **Milo Urban** jednak nie był takim kolaborantem, jak pisano w czeskiej prasie pierwotnie (wydał trzecią część swej trylogii w czasie wojny pt. „V osidlach"). Do zniesławienia Milo Urbana wystarczył prosty fakt, że pracował jako referent literacki w hlinkowskim „Slovaku". W porównaniu z niektórymi pisarzami czeskimi, wysługującymi się rządowi b. Protektoratu, przewinienie to jest bez wielkiego znaczenia.

Ze strony słowackiej bardzo często pod adresem czeskich pisarzy pada i inny, ciekawy zarzut. Oto jedna z firm praskich wydała olbrzymi uzupełniony mnóstwem fotografij pisarzy czeskich, dwutomowy **„Slovnik soudobych ceskych spisovatelu"** (Słownik współczesnych pisarzy czeskich). Po ogłoszeniu pierwszego tomu tego wspaniałego i europejskiego wydawnictwa zapowiedziano, że do drugiego tomu zostanie załączona lista czeskich pisarzy-kolaboracjonistów. Wyszedł drugi tom, lecz listy nie ma. Sprawę celowo zbagatelizowano, aby ją zlikwidować. A musimy wiedzieć, że pisarzy czeskich, którzy nie wydawali oficjalnie w czasie okupacji swych książek (nie mówiąc już o innych bardzo nieraz drażliwych przestępstwach narodowych!) można by policzyć na pięciu palcach jednej ręki. Owszem kogoś tu i tam pociąga się do odpowiedzialności ale jedynie dlatego, aby go dokładniej zrehabilitować.

Ostatnio w Pradze wielką sensację w tym względzie wywołała kolaboracyjna sprawa wybitnego artysty i komika filmowego, znanego i w Polsce. **Vlasty Buriana** (nie łączyć z E. F. Burianem!) Vlasta Burian w czasie okupacji szedł na wyraźnym pasku kulturalnej roboty proniemieckiej — w swych teatrach wystawiał antysemickie sztuki, występował na „robotniczych weselicach", które były prologiem do otwarcia wystawy „Grossdeutsches Reich" w praskim muzeum, grywał w radiowych skeczach, zainicjowanych przez Niemców w radio czeskim itp. A efekt... a koniec... a wyrok? Uniewinniający! Po wyjściu z sali rozpraw... publiczność czeska powitała Vlastę Buriana... oklaskami! Vlasta Burian wsiadł do własnego auta i pojechał zadowolony do domu. Zaś w najbliższym numerze „Kulturni Politiky", którą redaguje drugi E. F. Burian — na czołowej stronie zamieszczona została cięta karykatura Vlasty. I jakoś wszyscy są zadowoleni, że jednak został zachowany dla kultury czeskiej dobry artysta.

Modne jest także **poszukiwanie tłumaczy.** Na tym polu literatura czeska poniosła dość obfite straty, przede wszystkim wśród swych obywateli, literatów narodowości niemieckiej. Tak, nie żyje już dzisiaj dawny redaktor „Prager Presse", **Otto Pick,** tłumacz Brzeziny, Szramka, Czapka i Langra na język niemiecki i umożliwiający przekłady autorów czeskich w innych krajach Europy, gdyż Pick dysponował szerokimi znajomościami nie tylko w Niemczech i Austrii, ale także w Szwajcarii, Francji i Anglii. Karol Czapek swą światową sławę zawdzięcza wyłącznie Pickowi, który zmarł w Londynie na udar serca w trakcie czytania w prasie wiadomości o kapitulacji Belgii. Również w Londynie zakończył swe życie inny tłumacz (Bezrucza) — **Rudolf Fuchs,** przejechany tam w czasie zaciemnienia lotniczego przez samochód. Pozostał przy życiu jednak inny Niemiec czeskosłowacki — **A. C. Weiskopf,** który wydał nie tak dawno w New Yorku obszerną antologię poezji czeskiej w języku angielskim. Nie mniej jest ciekawe, że w ostatnich dniach nakładem księgarni Allen i Unwin w Londynie wyszła dalsza antologia nowej poezji czeskiej w przekładzie angielskim pt. „Modern Czech Poetry" w przekładzie E. Osers'a i J. K. Montgomery'ego. Tak się dzieje z poezją czeską za granicą! A z prozą jeszcze lepiej. Niektóre książki autorów czeskich, zakwalifikowane do druku na jesień br., już są sprzedane u zagranicznych wydawców. Kiedyż nauczymy się my, Polacy, tych wszystkich rzeczy? Kiedyż podobnie jak Czesi, zasłyniemy w świecie? I to nie tylko z bitewnego wigoru ale i z literatury, która przecież więcej waży od czeskiej? Kiedyż?...

Amelin Vonder

Nagroda Literacka

Czytelników »Odry«

Piąta lista składek

Dr Roman Materny, Bielsko	*1000 zł*
Jerzy Antoniewicz, Olsztyn	*500 zł*

F-ma „Elektra", Inż. K. Pazdro i Inż. T. Ścibor, Katowice, Słowackiego 39, składa 1.000,— zł i zaprasza F-my:

1. „R. S. T." Aparaty Elektryczne, Inż. Z. Rosnowski Bielszowice,

2. „SILESIA" Przedsiębiorstwo Techn.-Hutn. J. Zielonacki Katowice, Kopernika 30

3. „STEHAN" Spółka Techn. Handl. Inż. Żeleński i Mgr. Sidor, Katowice, Kochanowskiego 14

do wzięcia udziału w ufundowaniu „Nagrody Literackiej Odry", oraz proponuje zaproszenie skolei innych firm celem stworzenia łańcucha fundatorów.

Suma dotychczas złożonych składek wynosi 27.500 zł. Dalsze składki prosimy kierować na konto P. K. O. Katowice III-4960 z dopiskiem „Nagroda Literacka Odry".

Jadwiga Żylińska

Książka w Anglii

Przegląd nowości wydawniczych *)

Mimo ograniczeń papieru panujących w Anglii, na rynku wydawniczym ukazało się tyle nowości, że można rozróżnić pewne gatunki literackie, które zdobyły sobie pierwszeństwo przed innymi. W czasie wojny największym powodzeniem wśród czytelników brytyjskich cieszyły się — obok arcydzieł literatury XIX wieku — powieści historyczne. Możliwe, że ludzie szukali w nich ucieczki od rzeczywistości wojennej, a czasem paraleli, które by pozwoliły im przewidzieć przyszłość dziejową.

Odpowiedzią na ten głód prawdy historycznej, a może tylko rozbudzonej ciekawości, jest wydanie już po wojnie kilku znakomitych powieści z przeszłości i szeregu publikacji z zakresu biografii. Biografie te są organicznym uzupełnieniem historii i Wielkiej Brytanii: krzyżują się w nich spotkania jednych i tych samych ludzi, z coraz to innej strony oświetlone, co w końcu pomaga do wyklarowania całej epoki.

Czasem dzieło jest poświęcone tylko jakiemuś odcinkowi życia sławnej osobistości jak w „Livingstone's Last Journey" — Coupland'a. Jest w nim mowa o ostatnich latach największego angielskiego podróżnika, zakończonych podróżą jego zwłok z głębi afrykańskiego lądu aż do Oceanu Indyjskiego. Jak wielki musiał być urok i wpływ tego człowieka na zabobonnych Czarnych, którzy nie cofnęli się przed tą ekspedycją, traktuje książka Coupland'a, potrącająca chwilami o akcenty metafizyczne. O podobnym tytule choć odmiennej treści jest autobiografia „Siegfrid'a Sassoon'a zatytułowana „Siegfrid's Journey". Książka bardzo interesująca za względu na zawarte w niej spotkania Sassoon'a z Arnoldem Bennettem, H. G. Wellsem, Edmundem Gosse, Wilfredem Owen i Katarzyną Mansfield, Thomasem Hardy, Johnem Galsworthy i rodzeństwem Sitwell.

Nowych biografii doczekali się Rudyard Kipling (przez H. Brown), Charles Dickens (przez Unę Pope — Hennessy), Shelley (przez Edmunda Blunden) i Oskar Wilde (przez Hesketh Pearson). Ta ostatnia pozycja jest szczególnie wartościowa, gdyż Oskar Wilde, chronicznie w Anglii niedoceniany, został w niej ukazany bez uprzedzeń w całej glorii swego paradoksalnego talentu.

V. H. H. Green poświęcił obszerne studium osobie biskupa Reginalda Pecock'a, postawionego w roku 1457 przed arcybiskupa Canterbury wobec alternatywy stosu lub publicznego odwołania herezji. Wybrał to drugie. Tragedią jego życia było, że całą swą działalność pisarską poświęcił właśnie nawracaniu uczniów Wiclef'a, aby w końcu — głosząc supremację rozumu nad wiarą — samemu popaść w herezję. Jego wpływ na współczesnych był znikomy; dopiero w XIX wieku doktryny przez niego głoszone zostały zużyte przez przywódców „Oxford Broad Church School of theology". Pecock może być uważany za prekursora racjonalizmu.

Bohaterem autobiografii zatytułowanej „A Twentieth Century Crusader" jest inny duchowny, urodzony rewolucjonista, namiętny przyjaciel Chesterton'a, socjalista z przekonania, namiętny rzecznik wolności — Conrad Noel. Jest on jednym z tych licznych Anglików, co to wiecznie protestują przeciwko Wielkiej Brytanii i są w ciągłej opozycji, nie zdając sobie sprawy jak dalece są produktem tolerancji anglo-saskiej i jak bardzo żyją pod jej urokiem.

Na pograniczu dokumentu historycznego i kroniki rodowej stoi książka napisana przez Cecila Aspinal — Oglander'a pt. „Nunwell Symphony". Jest to historia posiadłości Nunwell, położonej na wyspie Wight, a należącej od 900 lat do rodziny Oglanderów, pochodzących od normańskich zdobywców z Orglandes. Listy, pamiętniki i dokumenty zużyte przez autora jako materiał do „Nunwell Symphony" świadczą o nieprzerwanej ciągłości kulturalnej Wielkiej Brytanii, która pozwoliła jej na zachowanie prawdziwej nie fałszowanej tradycji.

Wśród powieści historycznych najważniejszą pozycję zajmuje „Then and Now" Somerset Maugham'a. Jest to historia ambasadora Macchiavellego na dworze Cezara Borgii. Książka jest studium dwu charakterów: autora „Księcia" i samego księcia. Sytuacje i konflikty wynikłe ze spotkania tych dwu indywidualności są przedstawione tak fascynująco, że książkę Maugham'a czyta się jednym tchem, jak gdyby była powieścią o współcześnie znanych nam politykach. „Then and Now" jest swego rodzaju wzorem powieści historycznej i mistrzowskiego dialogu jednocześnie, a tym samym jest triumfem Maugham'a powieściopisarza i dramaturga.

Hannah Closs, autorka „High Are the Mountains" obrała sobie za temat krucjatę Albigensów. Powieść, której bohaterem jest Wolf de Foix, bastard wielkiego rodu posiada urok starego gobelinu z Bayeux. H. Closs ukazała w niej odległe, egzotyczne dla nas życie arystokracji langwedockiej XIII wieku, urzeczonej herezją, bratobójcze walki, straszliwe oblężenie Carcassone i górującą nad innymi postać Szymona de Monfort. Książka jest dedykowana wszystkim, których cel życiowy stanowi „the Quest of Liberation" (dążenie do Wyzwolenia).

Bohaterką powieści „That Lady" napisanej przez Kate O'Brien jest Ana de Mendoza, żona granda hiszpańskiego i przyjaciółka Filipa II. Z banalnego tematu trójkąta w małżeństwie Kate O'Brien wybrnęła w sposób niebanalny stwarzając subtelną historię trojga ludzi.

Anglicy są specjalistami od tak zwanych short - stories. Po śmierci Katarzyny Mansfield do najwybitniejszych reprezentantów tego gatunku literackiego należą V. S. Pritchett („It May Never Happen") i Eli-

*) Por. artykuł Karola Bruszaka „Powieść angielska w czasie wojny" w nr. 10 i 11 1945 „Odry".

Jerzy Antoniewicz

Margines dwu prac o Krzyżakach

Wyszły niedawno dwie prace. Jedną napisał **prof. dr. Karol Górski p. t. „Państwo Krzyżackie w Prusach“**, która ukazała się nakładem Instytutu Bałtyckiego w roku bieżącym. Drugą pracę o charakterze popularno-naukowym napisał **prof. dr. Stanisław Zajączkowski** i wydała ją Spółdzielnia Wydawnicza „Książka“ pod szerszym tytułem **„Dzieje Zakonu Krzyżackiego“** (Łódź, 1946).

Obie te prace ukazały się prawie jednocześnie. Obie też mówią nam o ziemiach, leżących w obrębie naszych granic i dotyczą ziem nad dolną Wisłą oraz ziem północno-wschodnich, leżących nad Łyną i Pasłęką. Chodzi w nich nie o co innego tylko o problem krzyżacki na Ziemiach Odzyskanych i panujące w średniowieczu stosunki w łonie polskiego organizmu państwowego jakim było niewątpliwie powstanie „państwa“ w państwie. Bierzemy do ręki wyżej wymienione dwie prace z uczuciem niesmaku i niepokoju, gdyż wiemy, że będzie mowa o dziejach Zakonu Krzyżackiego na terenach nadbałtyckich naszego państwa. Zdajemy sobie sprawę, że będzie w nich mowa o ówczesnej niemieckiej warstwie rycerskiej, która pod płaszczykiem „misji“ swej wojennej i pokojowej akcji brutalnie postępowała z zamieszkałą te ziemie ludnością **pomorską, staropruską i mazurską.** Dzieje Zakonu Krzyżackiego w Prusach są nam znane w ogólnych zarysach z ławy szkolnej, wreszcie znane są z szeregu bardziej lub mniej wyczerpujących opracowań, które ukazały się w XIX i XX wieku. Problem ten był oświetlony pod pewnym aspektem przez „Krzyżaków“ Sienkiewicza i zostawił w nas osad, który pozostanie każdemu czytelnikowi na zawsze. Zresztą w okresie miądzywojennym „Instytut Bałtycki“ wydał prace Górskiego, Koczego, Pociechy, Piwarskiego, Sobieskiego, Tymienieckiego i Zajączkowskiego, w których dzieje polityczne Zakonu Krzyżackiego na tle różnych zagadnień były poruszane pod różnym kątem widzenia. Do prac tych przybyły dwie nowe pozycje wydane w roku bieżącym.

Nie negując istotnych wartości strony wewnętrznej książki prof. Górskiego oraz prof. Zajączkowskiego oraz roli, jaką niewątpliwie one odegrają wobec zupełnego wyczerpania prac wydanych przed wojną przez „Instytut Bałtycki“, musimy wytłumaczyć pewne powody naszych obaw. Jest rzeczą bowiem znamienną, że o ile dzieje polityczne tych ziem są zarówno przez polską jak i niemiecką stronę dość gruntownie opracowane, o tyle zagadnienia **etniczne** ludności **autochtonicznej,** problemy historii gospodarczej i społecznej nie mają w polskiej historii należytego oświetlenia w formie prac syntetycznych napisanych źródłowo czy wreszcie prac popularno-naukowych. Jest rzeczą znamienną, że w polskim pisarstwie historycznym panuje dotąd duch **prymatu** Zakonu Krzyżackiego na tych ziemiach w znaczeniu gospodarczym, społecznym nie mówiąc już o politycznym. Oświetlane są przede wszystkim problemy stosunku Krzyżaków do tych ziem a nie **odwrotnie,** czego wyrazem byłaby postawa ludności autochtonicznej staroprusko-mazurskiej w stosunku do państwa krzyżackiego. Chodzi przede wszystkim o to, że dzieje tych ziemi to nie tylko dzieje Krzyżaków w Prusach, lecz dzieje ludności **pomorskiej (w Ziemi Malborskiej,** Chełmińskiej i na Pomorzu elbląskim), **staropruskiej** na dolną Łyną oraz **mazurskiej** na Pojezierzu. Nasuwa się tu przeto konieczność podjęcia badań nad zagadnieniami tych trzech grup ludności na Warmii i Mazurach a skromna mimo wszystko praca o Prusach H. Łowmiańskiego (1935 r.) nie podejmuje tego problemu na taką skalę na jaką widzieć chcielibyśmy. Zagadnień tych nie rozwiązują także prace wydane w okresie międzywojennym tego typu co zasłużonej działaczki Biedrawiny niezwykle zresztą cenne jak np. „Polskość Mazowsza Pruskiego“, „Mazurzy w Prusach Wschodnich“ czy wreszcie przygotowana do druku praca pt. „Zarys dziejów ziemi mazurskiej i ludu mazurskiego“. Nauki historyczne bowiem mogą jeszcze rzucić niejedno ciekawe światło na te zagadnienia, lecz na ogół wyczerpały już prawie w zupełności dostępne źródła historyczne dotyczące ludności staropruskiej, ekspansji polskiej na te tereny nie mówiąc już o kolonizacji niemieckiej, którą fałszywie i tendencyjnie określano. Że ślady **namacalne** kolonizacji niemieckiej w średniowieczu na tych terenach były nie tak wielkie, świadczą badania archeologiczne zresztą jeszcze niedostateczne z polskiego punktu widzenia. Uczony niemiecki O. A. Erich w pracy o ceramice niemieckiej średniowiecza, opublikowanej w 1934 roku nie jest w stanie przytoczyć silnych argumentów za nasileniem niemieckich motywów ceramicznych na terenie Prus i zasłania się przede wszystkim brakiem syntetycznych badań w tym zakresie. Wiadomo jednak, że było inaczej. Nauka niemiecka specjalną uwagę przywiązywała do badań śladów niemczyzny na wschodnich swych obszarach celem dania argumentów politycznych i uzasadnienia niemieckiego parcia na wschód. Dlatego archeologia nawet historyczna, antropologia, etnografia i językoznawstwo mają tu przede wszystkim głos i dążyć należy usilnie byśmy zaczęli zbierać materiały w terenie do nowych ujęć przyczynkarskich a z czasem **syntetycznych.** Nie ulega bowiem wątpliwości, że wyjaśni się i skontroluje wiele faktów historycznych, których nieraz jedynym źródłem informatywnym były dane zaczerpnięte z literatury niemieckiej oparte na badaniach w „tajnym“ archiwum państwowym w Królewcu. Naturalnie ze sprawą tą wiąże się sprawa warsztatów naukowo badawczych, które by podjęły te zagadnienia dla dociekań naukowych — a w dalszej konsekwencji do opublikowania wyników w formie prac syntetycznych. Stoi tu naturalnie brak ludzi i odpowiednich funduszów na przeszkodzie. W obecnej jednak rzeczywistości polskiej trudności te muszą być jak najszybciej przełamane. Ziemie nad Łyną i Pasłęką są **brzemienne** w dokumenty o **wartości źródłowej** i tylko od nas zależy czy będziemy mogli te dane zdobyć dla nauki polskiej. Dokumenty kultury materialnej i duchowej dotyczace tych ziem to najlepsze świadectwo bezspornych praw naszych do Mazurów i Warmii datujących się z doby spólnoty bałtosłowiańskiej oraz czasów historycznych. Wstrętny **kompleks niemczyzny,** którego wykładnikiem jest Zakon Krzyżacki, a potem państwo pruskie, to smutne fakty dotyczące tych ziem, z których należy wyciągnąć nam wnioski na przyszłość. Poza nimi których parawanem historycznym jest Zakon Krzyżowy, a później państwo pruskie wyrasta to samo słowiańsko-bałtyckie oblicze kulturowe, społeczne, gospodarcze i polityczne, które tak dobitnie charakteryzowało ongiś nasze współżycie polsko-litewskie w ramach jednego organizmu państwowego. Dziś już bałtyckich Prusów nie ma, zostali tylko polscy Warmiacy i Mazurzy.

Musimy podjąć badania nad dziejami gospodarczymi i politycznymi ludności mazursko-warmiackiej oraz nieistniejącej już ludności pruskiej. Tu się otwiera wiel- Tereny te muszą być zdobyte przez naukę polską w tym sensie, że musimy odgrodzić się od bardziej lub mniej rzetelnych osiągnięć nauki niemieckiej, która **była, jest i będzie tendencyjną** w zakresie badań nad nad dziejami Zakonu Krzyżackiego. Musimy zdać sobie sprawę, że dzieje Zakonu Krzyżackiego są ważnym odcinkiem historii politycznej tych ziem, nie są jednak problemem dominującym, są tłem, na którym winniśmy snuć żmudną rekonstrukcję dziejów ludności polskiej i pruskiej. To są postulaty w stosunku do zadań nauki polskiej na najbliższą przyszłość.

Korespondencja

Prądnik czy Prudnik?

Troska, jaką „Odra“ otacza stale najdrobniejsze nawet przejawy życia prowincji śląskiej, pozwala skorzystać z jej łamów dla przedyskutowania sprawy pozornie małej — ale posiadającej duży ciężar gatunkowy ze wzgl du na żywy oddźwięk, który budzi już od roku. Chodzi o jedną głoskę w nazwie miejscowej pewnego miasta na Opolszczyźnie — przysłowiowego PRADNIKA — PRUDNIKA.

„Biegli w Piśmie“ z uporem uchwalają, zatwierdzają i ogłaszają w „Monitorze“ jako nieodwołalną i ostateczną formę „PRUDNIK“, a **mieszkańcy tegoż miasta** z równym uporem używają nazwy „PRĄDNIK“.

Prosimy językoznawców, członków komisji dla ustalania nazw miejscowych na Ziemiach Odzyskanych, o wyjaśnienie na łamach „ODRY“ naukowej podstawy — ustalonej przez nich nazwy. Ogłoszenie w „Monitorze“ „poprawnej“ formy w postaci, będącej wyraźnym i jaskrawym **czechizmem,** wywołało na terenie powiatu prądnickiego efekt propagandowy najzupełniej przez komisje językową nie przewidziany. W tej sytuacji chcielibyśmy poznać dokładnie argumenty, przemawiające za ustalona nazwą.

Z naszej strony pozwolimy sobie zapytać, czy nazwa „PRUDNIK“ jest **dawną nazwą piastowską?** Czy prawdopodobny fakt istnienia dawniejszej nazwy „POLSKA WIEŚ“ był wzięty pod uwagę przy uchwalaniu „PRUDNIKA“? Czy zastanawiano się nad tym, że o ile autochtoniczna ludność wiejska używa nazwy „PRUDNIK“, o tyle w **samym mieście** i we wszystkich wsiach, gdzie ludność napływowa stanowi większość, tam wszechwładnie panująca jest forma „PRĄDNIK“? Czy pomyślano nad powodami, dla których w mowie autochtonów na pograniczu polsko-czeskim tak silnie utkwiła forma językowo nam obca? Czy wzięto pod uwagę fakt, że polskość Prądnika da się ustalić dokładnie dopiero na okres **przed przynależnością tego miasta do diecezji ołomunieckiej?** Czy istotnie nazwa „PRUDNIK“ sięga swoim pochodzeniem aż do tego „przedołomunieckiego“ i już **bezwzględnie polskiego** okresu?

Czy wreszcie autorytet **ks. Konstantego Damrota,** który **pół wieku temu** w obszernej pracy (Konstantin Damroth „Die aelteren Ortsnamen Schlesiens, ihre Enstehung und Bedeutung“. Bytom 1896, str. 154) opowiedział się za formą **„PRĄDNIK“** — jest czymś, co musi być koniecznie jako bezwartościowa staroświecczyzna zepchnięte w kąt?

Z warcholstwem (a może z objawem zdrowego poczucia językowego) „prądniczan“, upierających się przy „PRĄDNIKU“, trzeba raz zrobić porządek — byle szybko i **mądrze!**

L. S. Dutkiewicz (Prądnik, Śląsk Opolski).

Teatr Bielsko-Cieszyński

WIELCE SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Mocno żałuję, że autor artykułu „Teatry śląskie przed nowym sezonem“ Bogdan Butryńczuk, nie był łaskaw w ubiegłym sezonie odwiedzić „Teatru Polskiego“ w Bielsku. Jestem przekonany, że na pewno zmienił by on swoje zdanie i teatr — gdyby był się z nim bliżej zapoznał — nie wydał by mu się tak bardzo prowincjonalnym jak sądzi.

Zespół artystyczny naszego teatru w ubiegłym sezonie, liczący co prawda — zaledwie 20 osób, składał się w ogromnej większości z doświadczonych artystów, a nie z „surowego lub zmanierowanego materiału aktorskiego“, jak to określił autor artykułu.

I repertuar składał się bynajmniej nie z przypadkowo dobranych sztuk, lecz był z góry przemyślany, przystosowany do tutejszego terenu i zaakceptowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Na 17 premier, wystawionych w ubiegłym sezonie, „Teatr Polski w Bielsku“ może poszczycić się takimi pozycjami, jak: „Pan Jowialski“ — Al. Fredry, „Klub kawalerów“ — M. Bałuckiego, „Romans“ — Sheldona, „Romantyczni“ — E. Rostanda, „Panna Maliczewska“ — G. Zapolskiej, „Opieka Wojskowa“ — St. Bogusławskiego oraz fragmenty z „Legionu“ i „Wyzwolenia“ — Wyspiańskiego, a obecny sezon otwarliśmy 19 września „Balladyną“ — J. Słowackiego.

Teatr nasz nie należy do placówek szumnie reklamujących się, a przez przez prasę codzienną jest poniekąd zapomniany, gdyż w Bielsku — jak wiadomo — nie wychodzą pisma codzienne. Redakcje pism katowickich, — co prawda — mają w Bielsku swoich przedstawicieli, ale z braku miejsca (jak nas informowano) skąpe zamieszczają o nas wiadomości.

Praca nasza w ubiegłym sezonie została pozytywnie oceniona przez czynniki urzędowe, a mianowicie przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki oraz delegatów Zarządu Głównego Związku Artystów Scen Polskich, bawiących w swoim czasie w naszym teatrze.

Warto przy sposobności nadmienić, że teatr nasz był jedynym w roku ubiegłym, który otrzymał od Zarządu Z.A.S.P. nagrodę pieniężną, przyznaną mu za wysoki poziom artystyczny i w dowód położonych zasług w kierunku rozwoju sztuki polskiej na tutejszym terenie.

Radzi byli byśmy gościć u siebie w teatrze przedstawiciela Ich poczytnego pisma, a na razie łączę wyrazy poważania i prawdziwego szacunku.

Stanisław Kwaskowski.
(Bielsko — Cieszyn)

---

zabeth Bowen, autorka niezapomnianej powieści „The House in Paris“, którą należałoby przetłumaczyć dla polskich czytelników. Obecnie został wydany tom jej nowel pt. „The Demon Lover“, a poszczególne opowiadania mieszczą się po różnych zbiorkach. Za najlepsze uchodzi „In the Square“ gdzie na kilku stronicach odtwarza z nieomylnym wyczuciem ważności jednych szczegółów, a pominięciem innych, przeżycia ludzi w zbombardowanym domu Londynu.

Rosamund Lehmann, znana przed wojną w Polsce z powieści „Bez echa“, „Zaproszenie do walca“, „W jesiennej mgle“ wydała obecnie cykl nowel zatytułowanych „The Gypsy's Baby“.

„The Cloudes as Big as Mercy“ socjalistycznego pisarza Freda Urquarta zawierają specjalnie nas interesujące opowiadanie zatytułowane w oryginale „Namiętność“ (co jest chyba dla Anglików zupełnie nie do wymówienia). Tematem jego jest natarcie żołnierzy polskich na piękności wiejskie w Szkocji.

Gwyn Jones, Rhys Davies i A. L. Rowse reprezentują lokalny koloryt Kornwalii i Walii. Już sam tytuł jednej z nowel Rowse'go „The Stone that liked Company“ („O kamieniu, który towarzystwo lubił“) jest marką jego celtyckiego pochodzenia.

William Sansom i Mervyn Peake stwarzają wizję świata odmienną od norm uznanej rzeczywistości. Sansom („Three“) jest angielskim odpowiednikiem Kafki, (który ma w Anglii masę naśladowców) czy naszego Brunona Schulza, a Mervyn Peake, znany malarz, tym razem dał wyraz swojej inklinacji do groteski w literaturze. W powieści zatytułowanej „Titus Groane“ udało mu się stworzyć świat równie niedorzeczny i fantastyczny jak w „Alicji w krainie czarów“, z tym, że koszmarność zajęła u niego miejsce dziwności. Sukcesem jego przedsięwzięcia jest fakt, że fantomy, powołane do życia, posiadają pozory rzeczywistości i w sensie artystycznym są przekonywujące. Z bardzo długiej listy nowych powieści przede wszystkim należy wymienić „Time Must Have a Stop“ A. Huxley'a „Three Men in New Suits“ — Priestley'a, „Loving“ — Henry Green'a, „Brideshead Revisited“ — Evelyn Waugh, „Fire-Weed“ — Naomi Royde — Smith.

Reportaż i powieść wojenna stanowią naturalny produkt minionych lat. Równolegle do szlaków wojsk brytyjskich, biegnących we wszystkich kierunkach globu, toczą się losy bohaterów wojny. Dzieją się naprawdę wszędzie: w Stalagu i partyzantce („Horned Pigeon“ — George Millar) w Afryce („Born of the Desert“ — Malcolm James) pod Monte Cassino („The Monastery“ — M. Majdalany) w Libii, na Małajach w Sinapore („Reluctant Odyssey“ — Edith Pargeter) na morzu („The Lower Deck“ — John Davies, „The Naval Heritage“ — David Mathew) i w powietrzu („The Herald of God“ — J. V. Hewes. Czasem nawet akcja jednej powieści („Of Many Men“ — James Aldridge) obejmuje wszystkie te miejsca po kolei. Żołnierz Wolfe — jeżeli nawet nie bił się, to był wszędzie.

Skala przeżyć, zamkniętych w tych książkach — dokumentach jest bardzo różna. Eric Linklater w powieści „Private Angelo“, opisującej historię dezertera włoskiego i jego przygody podczas kampanii śródziemnomorskiej, zrobił z wojny rodzaj spektaklu, którym interesuje się — pomimo że sam brał w nim udział — od strony widza. Oto próbka jego stylu: „Przenigdy drogą appijską nie przeciągał pochód triumfalny, wymowniej świadczący o ogromie potęgi ludzkiej, jak to widowisko zniszczenia; szkoda tylko niewątpliwa , że uchodźcy nie byli w stanie ocenić tego należycie.“ (tłum. J. Ż.) Eric Linktater napisał zajmującą powieść, która jednak nie ma pretensji do wielkości.

Książka Alana Moorehand'a pt. „Eclipse“ nie jest powieścią o wojnie lecz reportażem, ale perspektywiczna ocena każdego zjawiska i podchwycenie jej psychologicznego aspektu, podniosły ten dokument do rangi dzieła, którego żadna oficjalna wersja historii wojny nie zdoła w zupełności wyrugować.

Wojna zmniejszyła dystans między Wielką Brytanią a Europą. Coraz częściej znajdują się na półkach księgarskich książki traktujące o sprawach innych krajów. Pomimo to Wielka Brytania najwięcej uwagi poświęca nie bliskiej Europie lecz państwom, które w ten czy inny sposób są interesujące dla polityki Imperialnej. Zarówno z dziedziny reportażu jak powieści pierwsze miejsce zajmują tu Chiny a potem Rosja.

Pozycje z zakresu religii i polityki wymagają — ze względu na obfitość materiału — osobnego artykułu.

Na sam koniec zostawiłam sobie omówienie książek, które sprawiają mi pewien kłopot, do jakiej kategorii mam je zaliczyć. Traktują o jednej postaci lecz absolutnie nie można ich podciągnąć pod kategorię biografii, zważywszy, że „bohaterem“ ich jest sam Diabeł. Edward Langton napisał dzieło pt. „Satan“, w którym przedstawił kolejne etapy, jakim ulegał diabeł w wyobrażeniu ludzkości. Ale na tym nie kończy się zainteresowanie dla diabła i jego sztuczek. Niedawno została przetłumaczona z francuskiego książka Denisa de Rougemont „Talk of the Devil“ — również o diable, a Montague Summers jest autorem „Witchcraft and Black Magic“, w której zapewnia, że czary i diabelskie sztuki są dziś tak samo uprawiane jak były w średniowieczu i wobec tego skasowanie ustaw przeciwko czarnej magii uważa za wielki błąd. Wojciech Bąk wyraził się kiedyś, że nasza epoka odznacza się m. in. wiarą w czarownice. Zdaje się nie brał jednak swego powiedzenia tak dosłownie, jak tego dowodzi wypadek Montague Summers'a.

Lista podanych przeze mnie książek nie jest kompletna. W wyborze moim kierowałam się przede wszystkim nazwiskami autorów, którzy byli znani u nas przed wojną lub z którymi czytelnik polski z tych czy innych powodów prawdopodobnie się jeszcze spotka. Kierując się metodą selekcji mogłam przypadkiem pominąć jakąś ważniejszą pozycję a uwzględnić mniej ważną. Przegląd ten jednak nie ma pretensji do jakiejś ostatecznej relacji z produkcji literackiej w powojennej Anglii. Jest informacją, która ma wzbudzić zainteresowanie i utorować drogę współczesnej twórczości angielskiej w Polsce.

Ankieta „Odry“

Pisarze polscy na Ziemiach Odzyskanych

Zdzisław Hierowski

1. Osiedlenie się moje na Śląsku po wojnie jest tylko powrotem po siedemnastu latach pobytu tutaj, przerwanego latami wojny, które były dla mnie równocześnie latami nieustannej myśli o wyzwolonym całym Śląsku i — co tu dużo mówić — latami tęsknoty. Są w życiu każdego z nas momenty, w których chciałoby się być poetą, kiedy boli niemoc pełnego wypowiedzenia swego przeżycia. Jeśli i ja momentów takich doznałem, to jednym z nich był ten, kiedy stanąłem po raz pierwszy od dnia 2 września 1939 r. w lutowy, szary ranek na moście brynickim i ujrzałem kominy Szopienic. Tu na Śląsku obrałem sobie moją ściślejszą ojczyzną i wydaje mi się, że nie mógłbym żyć w innej części Polski. Jako młody chłopiec przeżyłem to wszystko, co przeżywają dzisiaj nasi repatrianci i przesiedleńcy (tym więcej, że i moje drogi wiodły tu od Przemyśla). Poznałem i gorycz i radość tego zżywania się z nową ziemią i nowymi ludźmi i, patrząc na te sprawy z perspektywy czasu, jestem spokojny o losy polskości na Odzyskanych Ziemiach Śląska. Bo przekonany jestem, że masa osiadłych tu świeżo Polaków przejdzie ten sam proces psychiczny (i uczuciowy), jaki stał się moim udziałem. Z wdzięcznością wspominam to grono moich śląskich przyjaciół, które sprawiło, że stałem się pełnym członkiem społeczności śląskiej, opuściwszy strony rodzinne, nie stałem się człowiekiem bez regionu.

2. Konsekwencją tego mojego związania się ze Śląskiem są moje zainteresowania literackie. Jako krytyk i historyk literatury po trosze, korzystałem i korzystam w pełni z tego zjawiska, które Julian Przyboś określił kiedyś jako „koniunkturę literacką na Śląsku“. Z zapałem i z całą świadomością zamiarów i celów poświęciłem się wyłącznie problemom kulturalnym i literackim Śląska — nowym i dawnym. Żmudne i trudne zajęcia zarobkowe, skąpość dochodów literackich (pamiętasz, kolego Redaktorze, jak musieliśmy dopłacać z własnej niezasobnej kieszeni do utrzymania pisma literackiego na Śląsku?) nie pozwoliły mi przed wojną na systematyczną i owocną pracę literacką w obranym kierunku. Mimo to miałem szczęście niejednemu poecie śląskiemu ułatwić wejście w świat i torować mu trudną drogę do serc czytelników artykułami w pismach śląskich i pozaśląskich, wieczorami literackimi i audycjami radiowymi, którymi mógłbym spory tom zadrukować, gdyby nie ich specyficzna radiowa forma. Gdy po raz pierwszy otworzono przede mną mikrofon w r. 1937, mówiłem o współczesnych poetach Śląska i temat ten przyszło mi potem niejednokrotnie w różnych wariantach powtórzyć. Tu wraz z gronem poetów, którzy wystąpili na widownię około r. 1937, przyszło mi przeżyć moją „Sturm- und Drangperiode“ i rozegrać zwycięską kampanię o stosowanie kryteriów artystycznych w ocenie śląskiej twórczości regionalnej. Tu poznałem przedziwny smak bezpośredniego kontaktu z człowiekiem ciężkiej pracy fizycznej, któremu niosłem — początkowo, przyznam, nieśmiało i z zakłopotaniem — słowo literackie. Wojna zniszczyła mi przygotowywaną do druku antologię nowszej poezji śląskiej i mocno już podciągniętą monografię o narodowym poecie Śląska Cieszyńskiego, Janie Kubiszu. Po wojnie literatom śląskim otwarłem szeroko drogę na anteny Polskiego Radia, dałem im wszechstronne możliwości przemawiania do słuchaczy całej Polski a przy tej okazji powstał nowy tom moich szkiców na tematy śląskie, tom, który rozpłynął się w eterze i nigdy się nie ukaże. Za to łaski druku doznały liczne artykuły krytyczne i reportaże, których długi szereg otwiera szkic „Pisarze Ziemi Opolskiej“, drukowany w „Dzienniku Zachodnim“ 20. 3. 1945 r. Dużą wagę pozwoliłem sobie przypisać dwom obszernym artykułom na temat zagadnień kulturalnych Ziem Odzyskanych i programu kulturalnego dla nich, które były pierwszymi wystąpieniami w tej sprawie.

Kradnąc czas pracy radiowej, której poświęciłem znacznie więcej, niż na to pozwalały siły, i którą prowadziłem do dnia 14. 8. 1946 pod hasłem wszechstronnej, szeroko pojętej odbudowy polskości na odzyskanym Śląsku, przygotowałem książkę pt. „Śląsk walczący“, która dziś jest już w rękach czytelników. Jest to pierwsza antologia poezji śląskiej, ujęta pod kątem walki polsko - niemieckiej. Wyszła od razu w dwóch wydaniach w nakładzie 13.000 egz. Pierwsze wydanie ma charakter krytyczno-literacki, drugie jest popularne i nie znajdzie się w sprzedaży. Powędruje wprost do świetlic, bibliotek, domów kultury, do rąk „czarnego czytelnika“, by uczyć Śląska tych, którzy go nie znają, przypominając tradycję jego walki tym, którzy jej nie pamiętają, by godzić starych i nowych gospodarzy tej ziemi na wspólną dolę i pracę.

Obecnie kończę obszerniejszy zarys krytyczny pt. „Śląsk literacki 1920—1945“, w której staram się nakreślić stan, nawarstwienia i rozwój ruchu literackiego na Śląsku w tym okresie. Ponadto przygotowuję do wydania książkowego tom szkiców z przeszłości Śląska Wincentego Ogrodzińskiego. Zamierzam opracować pierwszy wybór pism Józefa Lompy, ojca odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku, bieżąco opracowuję poszczególne zeszyty seryjnego wydawnictwa Zw. Zaw. Literatów Polskich w Katowicach, „Arkusza Śląskiego“, zawierającego utwory współczesnych pisarzy tutaj skupionych.

3. Najbliższe mi są zagadnienia kulturalne Ziem Odzyskanych, problem ich kulturalnego zespolenia się z ojczyzną, a zarazem i zagadnienie współżycia ludności miejscowej z napływową. Zresztą interesuje mnie głęboko i bezpośrednio wszystko to, co na ziemiach tych się dzieje. Przeżywam entuzjastycznie każdy triumf polskiej myśli i pracy na tych terenach, boleśnie każde niepowodzenie i zaniedbanie od nadużyć przewodniczącego Pow. Rady Narodowej w Zgorzelcu po resztki napisów niemieckich w którymkolwiek z miast.

4. Trwałe powiązanie Ziem Odzyskanych z ojczyzną osiągniemy zdaniem moim przez: a) ujęcie sprawną ręką administracji tych terenów i oczyszczenie aparatu administracyjnego z elementów sprzedajnych, krótkowzrocznych i nie mających poważnego wewnętrznego stosunku do spraw, które się tu rozgrywają i które przychodzi im rozstrzygać; b) przez uporządkowanie problemów gospodarczych i osiedleńczych na tych ziemiach, stworzenie polskiemu chłopu i robotnikowi trwałych i solidnych podstaw egzystencji, będącej podbudową jego pionierskiej pracy i historycznego wysiłku; c) przez mądre uporządkowanie spraw narodowościowych, łagodzenie tarć pomiędzy ludnością napływową i miejscową oraz czujną i dokładną akcję oczyszczającą te ziemie z elementu niemieckiego; d) przez równoczesną z tymi poczynaniami wielką akcję kulturalną o szerokim rozmachu i rozległym wachlarzu zadań, obejmujących wszystkie dziedziny życia duchowego; e) przez wprowadzanie w czyn prawd Związku Polaków w Niemczech, co wysoko podniesie godność Polski i uczyni ją symbolem piękna, sprawiedliwości i dobra. Bo te prawdy wkraczają głęboko w życie człowieka na tych ziemiach i regulują najpełniej jego stosunek do ojczyzny. Są hasłami walki, takiej walki, jaka tutaj jest jeszcze i będzie długo potrzebna.

Listy z Polskiego Zachodu

Kto pocieszy Cieszyn

Smutne jest miasto Cieszyn, jedno z najpiękniejszych miast w Polsce, miasto które według uwiecznionej na tak zwanej studni trzech braci tradycji powstało w roku 810 na pamiątkę radości trzech zbłąkanych braci, którzy tu właśnie po dłuższej tułaczce się spotkali. Dziś smutek i przygnębienie wyziera z każdego miejsca tego pięknego miasta, z twarzy napotkanego przechodnia, z licznych lokali, odpychających przechodnia wionącą z nich pustką i nudą, której nie przepędzi nawet najhałaśliwsza orkiestra. Pustką stoją okazałe cieszyńskie hotele, ze wspaniałym „Jeleniem“ w rynku na czele.

Czemuż jest smutne piękne miasto Cieszyn, tak pełne przed tą wojną życia, gwaru i radości? Oto brak mu drugiej połowy miasta, brak mu Zaolzia! Płynąca leniwie Olza, choć dziś ma tak mało wody, że prawie suchą ją można przejść stopą, a jednak odcina od siebie obie części miasta, — dzieli państwową granicą. Odcina od siebie wrogim murem dwa państwa, skazane swym położeniem, doświadczeniami przeszłości i swymi przeznaczeniami na jaknajserdeczniejszą przyjaźń i współpracę. Rozcięcie Cieszyna na dwie części szczególnie boleśnie razi oczy. Łączące dawniej obie części miasta mosty na Olzie uległy w ostatniej fazie wojny zupełnemu zniszczeniu, tak most jubileuszowy, u wylotu pięknej alei 3 Maja, jak i tak zwany most główny, w samym środku miasta, u wylotu najruchliwszej jego ulicy. Ruiny zwłaszcza mostu głównego aż bolą widokiem gwałtownej wyrwy, brutalnie urywającej główną ulicę polskiego Cieszyna. Po czeskiej stronie nad tą wyrwą tabliczka z napisem: Cesky Tesin, — po polskiej stronie odpowiedniej tablicy nie ma, nie trzeba jej, — i tak przecież wszyscy wiedzą, że to polski jest Cieszyn, i nie tylko ta jego część. Most jubileuszowy został niedawno naprawiony, ale jeszcze nie oddany do użytku. Na razie komunikacja odbywa się przez prowizoryczny, zresztą wcale solidny drewniany most, położony między tymi dwoma głównymi arteriami miasta, — nie tak łatwo go bez pomocy Cieszyniaka odnaleść. To też jego istnienie nie osłabia w niczym wrażenia zupełnego, brutalnego odcięcia od siebie obu części miasta.

Przez ten most płynie ciągły ruch. Polskie i czeskie placówki sprawdzają przepustki, niekiedy kontrolują bagaże. Mimo dzielącej granicy, mimo różnego rodzaju utrudnień, związane są z sobą obie części miasta i kraju, — są przecież po drugiej, zaolziańskiej stronie krewni, przyjaciele, znajomi, często warsztaty pracy czy mieszkania. Troski Zaolzia pogłębiają jeszcze bardziej smutne nastroje Cieszyna, miasta, które bez Zaolzia skazane jest na powolne zamieranie.

Wiedzą o tym doskonale dawni mieszkańcy Cieszyna, wiedzą też ci wszyscy, którzy tu dopiero teraz, po wojnie przybyli. Przybyło ich dość dużo, jakoś się urządzili, dostali lokale, sklepy, zasiedli za biurkami, ale zżycie się ich z dawnymi polskimi mieszkańcami miasta idzie dość opornie. Niemców jeszcze jest trochę w Cieszynie, ale bardzo niewielu. Ci najgorliwsi odeszli sami wraz z uciekającą armią niemiecką, inni tacy typowi cieszyńscy kupcy i rzemieślnicy, co i za austriackich i za polskich czasów z konieczności więcej po polsku jak po niemiecku mówili, starają się zostać, uzyskać rehabilitację. Często im się to podobno udaje. Mieszkańców ma Cieszyn w tej chwili prawie 17 tysięcy.

Wojna, działania bojowe, dotknęły miasto tylko w bardzo małym stopniu. Poza zniszczonymi mostami innych śladów prawie że nie widać. Ogromnie za to boleśnie dotknęła miasto okupacja hitlerowska. Wiele rodzin okryło się żałobą, z wielu domów wyrwano najdroższych do obozów koncentracyjnych, skąd niewielu wróciło. Ucierpiała najmocniej cieszyńska inteligencja, w pierwszym rzędzie nauczycielstwo. Wstrząsającą pamiątką tych czasów jest wysoki, biały brzozowy krzyż umieszczony w pięknym parku miejskim, nad Olzą. Czytamy napis: „Ku wiecznej pamięci Polaków, ku wiecznej hańbie Niemców“, a następnie 24 nazwiska mieszkańców Cieszyna i okolicy, którzy w dniu 20 marca 1942 r. zostali w tym miejscu powieszeni na oczach spędzonej ludności. Powieszeni za to, że byli Polakami. Byli wśród nich inżynierowie, rolnicy, robotnicy.

Inną pozostałością okupacji jest okaleczony pomnik pierwszego księcia cieszyńskiego Mieszka I, który z pięknego wzgórka w parku miejskim spoglądał swego czasu na swoje miasto. Niemcy usunęli figurę cieszyńskiego Piasta i umieścili w muzeum, gdzie do dziś w nieuszkodzonym stanie się znajduje. Pozostała część pomnika została tymczasem użyta dla uczczenia innych, ogromnie cennych sercu polskiemu zdarzeń, ale czy naprawdę należało sankcjonować dokonane przez Niemców barbarzyństwo, czy nie można było gdzie indziej umieścić nowego pomnika? I biedny Mieszko I, pierwszy Piast cieszyński, nie ma dla siebie w Cieszynie miejsca. Oglądać go można w muzeum jako dowód niemieckiej „kultury“ i — czyjejś bezmyślności.

Z innych pamiątek Cieszyna Niemcy usunęli na cmentarzu polskie napisy z grobów działaczy cieszyńskich Stalmacha i ks. Świeżego i z grobowca Karola Miarki.

Innym śladem niemieckiego pobytu jest poważne zniszczenie zbiorów bibliotecznych cieszyńskiego muzeum. Książki stąd usunięte umieścili Niemcy w takim pomieszczeniu, że wiele z nich zniszczało, inne wywieźli na wieś, na Zaolzie, skąd jakoś nie mogą wrócić. Pewne wartościowe przedmioty muzealne Niemcy również wywieźli. Poza tym jednak muzeum istnieje wzorowo urządzone, pod troskliwą opieką zakochanych w Cieszynie ludzi, — godne zawsze zobaczenia.

Jedynym wartościowym śladem pobytu tu Niemców to uporządkowany, porządnie kamieniami wyłożony rynek. Materiał przygotowano już zresztą przed wojną, plany również, Niemcy dali tylko robociznę — oczywiście też polską.

Wznosi się dalej wspaniale nad miastem, nad Olzą wieża zamku, pamiętająca piastowskie czasy z przed sześciu przeszło wieków. W parku zamkowym Niemcy przeprowadzili szereg badań wykopaliskowych, znaleźli cenne przedmioty z czasów przed Chrystusem i z pierwszych wieków polskiej państwowości. Niestety do parku tego nie można się było dostać, bo zamek zajęty był przez milicję. A równocześnie pustką, przygnębiającą pustką zioną olbrzymie masywne koszary, z pozabijanymi deskami otworami okiennymi. Na nic ich

(Dokończenie na str. 7)

Wizerunek Cieszyna z roku 1789.

Teatry śląskie

Otwarcie sezonu w Teatrze Miejskim w Sosnowcu

Teatr sosnowiecki otworzył sezon w dniu 21 bm., stosownie do swych możliwości, skromnie i bez pompy. Żeby to poważnie wyglądało, poszło na pierwszy ogień dostojne nazwisko Fredry, a żeby ludzi bardzo nie wystraszać tytułem przypominającym lekturę szkolną, użyto do tego celu jednej z rzadko grywanych komedyj, mającej trochę farsowe zacięcie — **„Dożywocia“.**

W przerwie po pierwszym akcie, paląc papierosa, usłyszałem za plecami cierpką uwagę pewnej pani, skierowaną do towarzysza: „Beznadziejnie nudna sztuka“. Mówiła to sobie tak, jakby przyszła na komedię, którą dopiero wczoraj napisano, i która po raz pierwszy zdaje egzamin przed publicznością. Ton był drażniący, ale w duchu miałem ochotę przyznać rację. Pierwszy akt zagrany na premierze zupełnie bez tempa i bez życia nie usposabiał do wesołych refleksyj i pomyślnych horoskopów na dwa dalsze. Ale przecież sala ożywiała się, wyławiała dowcip i chociaż nie wybuchała śmiechem, zrywał się on od czasu do czasu krótkimi falami. To znaczy, że z tą beznadziejną nudą nie jest tak źle. „Dożywocie“ rodziło się pod dobrą gwiazdą „Ślubów“, „Jowialskiego“ i „Zemsty“. Jeśli w porównaniu z tą złotą trójką jest komedią w wówczas Fredry drugoplanową, to bynajmniej nie dlatego, że autorowi zabrakło tematu i talentu. Potraktował je po prostu marginesowo, jako pewną próbę czy odprężenie, uderzając w ton lekkiej farsy i bezpretensjonalnego żartu. To też nie jest ono tą komedią, do której należałoby podchodzić z namaszczeniem i pietyzmem. Domaga się od realizatorów lekkiej szarży farsowej i groteski. A przede wszystkim domaga się traktowania komediowo. A nie po raz pierwszy zdarzyło się u nas to, co widzieliśmy na sosnowieckim spektaklu, że reżyser i aktorzy ulegli sugestiom wpływologów i zamiast fredrowskiej farsy grali molierowską komedię skąpstwa, zamiast pokazać widzowi, jak się skąpiec ośmiesza, pokazywali, jak się męczy w szponach swojej namiętności. Taka pomyłka może sprawić, że „Dożywocie“, stojące właściwie jedną doskonałą rolą Łatki, wyda się komuś nudne. Tym więcej może, że instytucja „dożywocia“ w tej formie, w jakiej wprowadza ją Fredro, jest u nas mało znana i wymaga zasadniczego objaśnienia, którego komentarz umieszczony w programie nie daje. Na tym polega humor tej sztuki, że Fredro przynosi problem molierowski w specyficzne stosunki polsko-galicyjskie w latach czterdziestych XIX w. i w swoisty światek ludzi, którzy je tworzyli. Gdy u Moliera komizm jest więcej charakterologicznej natury, u Fredry jest on przede wszystkim sytuacyjny i od tej strony jest w komedii przez autora podkreślany. To znaczy, że z „Dożywocia“ można zrobić dziś jeszcze dobre i zabawne przedstawienie.

Ale to nie jest niestety t. zw. w gwarze teatralnej „samograj“. Było nim może kiedyś. Dziś już wymaga inwencji inscenizacyjno-reżyserskiej, pomysłowości dekoracyjnej, sumiennego opracowania strony aktorskiej. Przez swą pozorną łatwość jest więc do pewnego stopnia pułapką dla realizatorów i stało się nią na scenie sosnowieckiej.

Reżyser, p. J. Rychter poprowadził przedstawienie najwierniej według fredrowskiego scenariusza, po prostu tak jak stało napisane. Dekorator, p. Z. Łopuszyński inicjatywę swoją skierował na skomplikowanie urządzenia sceny przez dodanie niepotrzebnych i zawadzających na ciasnej scenie schodków z galeryjką oraz zbędnego widoku na bramę wejściową do zajazdu, co opóźniało tempo akcji, przedłużając każde wejście i wyjście. Skupiający na sobie całą niemal uwagę widza, Łatka w wykonaniu p. Tadeusza Przystawskiego przypominał raczej chciwego Judasza, ofiarę pożerającej go miłości do pieniądza, niż pospolitego lichwiarza, zaplątanego mimowoli w sposób komiczny w sieć swojej własnej intrygi. P. Przystawski nie ośmieszał jego skąpstwa i jego perypetii, on je tragizował gestem, mimiką i intonacją, głosu, męczył się sam i męczył współwykonawców, wypierając z nich ostatni dech, zagrażając poważnie ich skromnej garderobie i doprowadzając do niemal dramatycznych scen. Tej roli potrzeba stanowczo mniej rękoczynów i mniej pasji, a więcej groteskowego patosu i dostosowanego do niego gestu. Dlaczego np. w scenie oświadczyn Łatka ma być wstrętny, kiedy on może być komiczny i takim być powinien. Poziom wykonawczy pozostałych ról na ogół wyrównany, choć nie wysoki. Zarówno p. Witoldowi Skrzypińskiemu jak i nienazwanemu w programie wykonawcy roli Michała zdarzało się mówić wiersz zupełnie po szkolarsku. Przede wszystkim najsłabiej wypadły wszystkie kwestie dłuższe i monologi, których jest tu sporo, choć krótkich, przy czym kilka z nich aż prosi się o ołówek. Trudno, te czasy minęły. Stosunkowo najswobodniej dawali sobie radę z ośmiozgłoskowcem pp. Nawrocki (Rafał) i Mariański (Orgon). Jedyna kobieta w tej „męskiej“ komedii, p. Alicja Barska wyglądała stylowo i grała sympatycznie. Filip w interpretacji p. Stefana Miedzińskiego był głupawym służącym, podczas gdy Fredro obdarzył go sprytem i sporą dozą chłopskiej filozofii, że stanowiska której może sobie on pozwolić niejedną złośliwość w stosunku do Łatki. Opanowanie wierszowanych kwestii utrzymanych w rytmie ośmiozgłoskowym sprawiało aktorom pewną trudność. W trosce o sam wiersz, który brzmiał nieźle, gubiło się czasem brzmienie i sens poszczególnych zdań i okresów. Przez wzmocnienie tempa gry, co powinno przyjść samo przy następnych przedstawieniach, oraz przez silniejsze podkreślenie farsowego komizmu sztuki przy wygładzeniu szczegółów „Dożywocie“ może się w Sosnowcu spotkać z życzliwym przyjęciem. A warto tam na prawdę coś nie coś jeszcze poprawić i ożywić. Choćby taką scenę przyjazdu i oszczędnościowych zabiegów Orgona.

zh.

Teatr Ziemi Opolskiej

„Hamlet“, tragedia w 5 aktach W. Szekspira w przekładzie Paszkowskiego. Inscenizacja i reżyseria Jerzego R. Bujańskiego. Dekoracje i kostiumy M. Borowiejskiej i M. Łańcuckiego.

Nie przekonało mię to przedstawienie. Było zimne, jak kryształ, rozkwitający wyrazem różnych barw i kolorów, zimny atoli i obojętny, bo nie rozjaśniony od wewnątrz żadnym żywym ogniem. Wrażenie to utrwala głównie gra Bujańskiego. Hamlet nie jest tylko intelektualistą, jakim starał się przedstawić go Bujański. Uposażony w przebogate przymioty intelektu i uczuciowości, właśnie skutkiem przewagi tej drugiej strony elementów staje się wyrazem zagadkowego problemu psychologicznego, który decyduje o poetycko pięknym rysunku postaci. Współczynnik ten daleki jest od „bezpośredniego“ prezentowania motywów uczucia i działania, lecz nigdy nie może być wyeliminowany z wymiaru słowa, jako instrumentu myśli i uczucia. Stan przeciwny — koliduje z zasadą gry aktorskiej, godzi w pojęcie teatru, stwarza tromtadractwo, teatralną retorykę, nuży i gubi największe wartości. Głos Bujańskiego był zimny jak lód, błyskotliwy jak szpada, technicznie opracowany i doskonale dźwięczny, lecz — zimny.

Jakże szlachetnie brzmiał tu głos Ofelii! Odtworzyła tę postać Niedźwiedzka, w sposób nie uchybiający najbardziej surowym wymaganiom, a scenę obłędu (z kwiatami) można pokazać w największych miastach Europy! Była w tym poezja, było w tym wszystko, co najpiękniejsze w teatrze... Wyrazistą wartością artystyczną wyróżnia się też scena kopania grobu, z udziałem Brońskiego, w roli grabarza. Szczerze brzmiał głos Laertesa (Jabczyńskiego), wiele szczęśliwych akcentów ma królowa (Jerzmanowska), na poziomie utrzymuje się także Posiadłowski, w roli Poloniusza. Głosy inne, niestety: — brzmiały pusto, głucho i nieszczerze. Brakło w nich myśli i ducha.

Podobne uwagi nasuwa **„Dom Kobiet“**, sztuka **Nałkowskiej**, grana równocześnie przez drugi zespół tego teatru. Kwestie powtarzane za suflerem brzmią, jak blacha na wietrze. Aktor musi umieć swą rolę, musi rozumieć to, co mówi i musi umieć przeżyć to wszystko, co stwarza i kształtuje istotę wartości repertuaru. Z zespołu, zaprezentowanego nam w sztuce Nałkowskiej, jedynie Zbyszewska, w roli Joanny, Feldmanówna, w roli Tekli i Zofia — służąca, stanęły na wysokości zadania. Publiczność nie zrozumiała przedstawienia, bo nie rozumiały tekstu — aktorki, a klasycznym przykładem niedołęstwa, to Ewa, w amatorskiej „interpretacji“ jakiejś adeptki.

W. Hlouszek.

KAROL ADWENTOWICZ, zasłużony pracownik sceny polskiej, objął dyrekcję teatru w Olsztynie na Mazurach. W ten sposób Adwentowicz po raz drugi już po minionej wojnie obejmuje placówkę pionierską.

Piastowie i Jagiellonowie

Nowe warunki, w jakich budujemy Państwo Polskie po drugiej wojnie światowej, domagają się nowego spojrzenia w przeszłość dla wydobycia z niej idei kierowniczych i tych haseł i zasad, którym służymy.

Temu wołaniu stał się posłuszny profesor Zygmunt Wojciechowski przystępując do pisania historii polskiej z czasów Piastów i Jagiellonów.*) Był on szczególnie przygotowany do opracowania właśnie tych okresów naszych dziejów jako autor poważnych studiów nad organizacją państwa za Piastów, prac o ustroju politycznym, o prawie rycerskim, o sądownictwie z tych czasów, o najstarszych targach w Polsce. W ciągu dwóch lat powojennych zdołał profesor Wojciechowski wydać w nowym ujęciu historię dziesięciu wieków zmagania się pt. „Polska — Niemcy“, dwa obszerne, naukowe studia „Państwo Polskie w wiekach średnich. „Dzieje ustroju“ i „Zygmunt Stary“, rozwijając nadto bardzo ożywioną działalność organizacyjną i wydawniczą jako dyrektor ruchliwego Instytutu Zachodniego.

Książka „Polska Piastów Polska Jagiellonów“ przeznaczona jest dla szrokich kół czytelników. Jako syn nieodżałowanego historyka literatury profesora Konstantego Wojciechowskiego, autora pięknych szkiców popularnych o Prusie i Sienkiewiczu i barwnych, przystępnych „Dziejów literatury polskiej“, wydanych pierwszy raz przez Macierz Polską, oddziedziczył widocznie zdolności popularyzowania zdobyczy naukowych, tak rzadkie u historyków, bo umie pisać prosto, jasno, przystępnie, zajmująco, a rzeczowo i treściwie. Dobrą współpracownicę zyskał w dr Marii Wojciechowskiej, autorce cennej pracy „Z dziejów książki polskiej w Poznaniu w XVI wieku“. Razem dali rzecz bardzo na czasie, wartościową, zdawna oczekiwaną przez tych wszystkich, którzy chcą znać historię Polski z ust uczonych, opartą na najnowszych na tym polu zdobyczach, nie mają jednak czasu na czytanie prac specjalnych, często zawiłych i nużących.

Wojciechowscy podkreślają w dziejach silnie te momenty, które mówią o naszych prawach do Ziem Zachodnich. Uwydatniają też mocno walkę, jaką prowadziliśmy stale z naporem niemieckim. Nie poprzestają jednak na omawianiu tylko zagadnień politycznych, żywe zainteresowanie okazują również dla spraw kulturalnych i gospodarczych. Umiejętnie opowiadania aktualizują. Wypadki historyczne często ilustrują większymi urywkami z literatury np. przy kreśleniu postaci Kazimierza Wielkiego przytaczają rapsod Stanisława Wyspiańskiego, a opis bitwy pod Grunwaldem uzupełniają fragmentem z „Krzyżaków“. Potrafią też ze splotu zagadnień wybrać te, które są najważniejsze i najbardziej zaciekawiające.

Księgarnia św. Wojciecha wyposażyła książkę Wojciechowskich bardzo zasobnie w ilustracje, wykresy, mapy i barwne tablice. Z książek, wydanych po wojnie ta jest opracowana graficznie chyba najstaranniej. Już samo przeglądanie blisko 500 stron liczącego dzieła przynosi wilką korzyść i zadowolenie. Taką książkę jednak nie tylko się przejrzy i przeczyta ale chętnie do niej niejednokrotnie się powraca. Jest to przecież nie tylko zajmująca opowieść o naszych dziejach, ale i ich podręcznik. Dlatego przy następnym wydaniu widzielibyśmy jeszcze chętnie i wdzięcznie spis osób i zdarzeń na końcu książki, literaturę przedmiotu, naturalnie tę tylko najważniejszą i dostępniejszą, może i tablicę synchronistyczną najważniejszych wydarzeń u nas i u sąsiadów. Dobrze by było również pomyśleć o umieszczeniu drobnych marginesowych tytułików w samym tekście który w ten sposób nabrałby jeszcze silniejszych rumieńców życia. Jeśli już tyle zgłaszamy życzeń to podamy tu jeszcze jedno, już nie pod adresem wydawcy, ale samych autorów historii. Po tomie „Polska Piastów Polska Jagiellonów“ oby ukazał się następny, przynoszący dalsze dzieje w tym samym, godnym pochwał, opracowaniu.

Stefan Papee

*) **Maria i Zygmunt Wojciechowscy**, Polska Piastów, Polska Jagiellonów. Drukarnia św. Wojciecha. Poznań, 1946. Str. 480, 191 ilustracyj, 4 tablice barwne, 17 mapek, 9 tablic, genealogicznych.

Książka Ziem Odzyskanych

Karol Małłek. Plon czyli dożynki na Mazurach. Materiały do widowiska ludowego. Nakładem „Instytutu Mazurskiego“ Olsztyn 1946 r. Str. 21.

Autor, kierownik Mazurskiego Uniw. Ludowego w Pasymiu oraz prezes „Instytutu Mazurskiego“ opracował po raz drugi ten temat, wydając po raz pierwszy „Plon“ w 1937 roku nakładem Związku Mazurów w Działdowie. Poprawki są nieliczne, głównie językowe. Chodziło o to, by uchwycić możliwie najwierniej mowę ludu mazurskiego taką jaką jest w istocie, bez wytrętów polskiego literackiego języka. Zadano sobie trudu niemało. Wyrażenia ludu mazurskiego są zaprawione nowymi germanizmami, niespotykanymi nawet czasem przed wojną. Tym niemniej uchwycono wszystko to, co dały obserwacje terenowe i badania nad wymową w bieżącej chwili. Być może język zawarty w pracy Karola Małłka będzie tu i ówdzie krytykowany przez językoznawców. Autor językoznawcą nie jest. Pisał swą pracę tak jak słyszał z oryginalnych wypowiedzi starych ludzi **i zna regionalne odcienie mowy ludu mazurskiego**, tak jak mało kto w Polsce.

Słusznie pisała w przedmowie do pierwszego wydania E. Biedrawina: że zebrał „szczątki starych pozostałości rodzimej kultury“, — wypieranej przez ducha germańskiego, skazanej na zagładę“.

Fabuła „Plonu czyli dożynki na Mazurach“ jest prosta, nieskomplikowana, bez pretensji. Zwykły sobie „godny“ gospodarz, gospodyni, żniwiarze, przodownicy... Wszyscy odnoszą się z pewnym pietyzmem do żniw, przestrzegają dawnych zwyczajów i przesądów.

Wielkim darem Małłka jest to, że mając uzdolnienia artystyczne potrafi nie tylko pisać widowiska ludowe oparte o najautentyczniejsze obserwacje zwyczajów ludu mazurskiego, ale umie je z wielkim talentem inscenizować. Będąc kierownikiem Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Pasymiu zdołał mimo ogromnych trudności wystawić już zaraz na zakończenie pierwszego kursu widowisko ludowe pt. „Jutrznia na Gody“, oparte na mazurskich motywach ludowych, którego był autorem. Widowisko to odbyło się przy wypełnionej po brzegi sali teatralnej ludnością autochtoniczną, która dosłownie płakała z radości. Jak wielkie znaczenie miał ten spektakl świadczy fakt, że odbył się on w okresie natężenia największej **nieufności autochtonicznej ludności** do przybyłych z centrum Mazowsza **nowych osadników** po wsiach i osadach Pojezierza Mazurskiego. Jak wiadomo ci ostatni swym zachowaniem w stosunku do ludności autochtonicznej dawali nieraz powody do skarg i zadrażnień zbytnią chciwością na dobro mazurskie, które ryczałtowo określano jako niemieckie. W tej właśnie chwili rozpoczął swą **działalność** Karol Małłek jako dusza i kierownik Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego na najbardziej wysuniętym i zamieszkałym w największej ilości procentowo przez ludność mazurską obszarze woj. olsztyńskiego z powiatem szczecińskim na czele. Już dziś przeto mimo szczupłych środków materialnych **dokonał b. dużo** i jest jego wielką **zasługą** tak jak i innych pracowników i działaczy „Instytutu Mazurskiego“.

Praca Małłka ma dokumentarne znaczenie. Warto, by była znana nie tylko działaczom ludowym woj. olsztyńskiego jako specyficzna ciekawostka regionalna. Winna być w rękach tych wszystkich, którzy się w Polsce kulturą duchową ludu zajmują.

J. Antoniewicz

NOWOŚCI INSTYTUTU ZACHODNIEGO
POZNAŃ, CHEŁMOŃSKIEGO 1

Maria Kiełczyńska.
O podstawy geograficzne Polski, str. 144 i 16 mapek, cena zł 200,—

Marian Friedberg,
Kultura polska a niemiecka, t. I-II, str. 363 i 310, cena za cał. zł 500,—

Alfons Klafkowski,
Okupacja niemiecka w Polsce w świetle prawa narodów.
str. 196 cena zł 200,—

Bogumił Krygowski, Stanisława Zajchowska,
Ziemia Lubuska, Opis geograficzny i gospodarczy,
str. 287, cena zł 300,—

Bożena Stelmachowska,
Zdobnictwo ludowe Ziemi Pyrzyckiej. 4°, str. 34 cena zł 100,—

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Dokończenie ze str. 6)

do tej pory nie użyto, choć w Cieszynie brak mieszkań, choć jedno z gimnazjów aż do ostatnich miesięcy musiało po południu korzystać z cudzego lokalu, bo w jego wspaniałym przedwojennym pomieszczeniu mieściła się inna instytucja.

Ruch w Cieszynie słaby, — ożywia się nieco w dnie targowe, gdy zejdą się czy zjadą okoliczne gaździnki“ w swych pięknych strojach z nabiałem, owocami, jarzynami i sprzedają je nie wiele taniej niż choćby w Katowicach. Życie w Cieszynie smutne, tak jak całe miasto. Wszyscy mówią o Zaolziu, pytają: kiedy?..... Urozmaicenia niewiele, — jest kino, jest od czasu do czasu jakiś odczyt czy koncert, — wreszcie stosunkowo dość regularnie zjeżdża z Bielska teatr, by dać przedstawienie w pięknym miejskim teatrze. Występy jego cieszą się stale dużą frekwencją (może jedną z przyczyn są tanie bilety wstępu, nie sięgają co nawet połowy katowickich cen), chociaż nie zawsze dobór sztuki i wykonanie na to zasługują.

Cieszyn jest nadal, jak i przed wojną, miastem, wielu szkół — i emerytów. Niestety wydaje się, że raczej ci ostatni nadają miastu ton. Widocznie panującego w Cieszynie nastroju smutku i przygnębienia nie potrafi przełamać nawet młodzieńcza radość i śmiech. Nastrój przygnębienia udziela się natychmiast każdemu, kto przybędzie do tego smutnego, okaleczonego miasta.

Ochronę przeciw ogarniającemu przybysza i stałego mieszkańca przygnębieniu daje przechadzka nad Olzą. Jakże tam jest ślicznie! Już po kilku minutach drogi znajdujemy się w podmiejskim parku, który po przez cieniste aleje i dróżki, wzdłuż wspaniałego, dziś niestety mocno zaniedbanego boiska i ogrodu szkolnego, wzdłuż basenu kąpielowego, prowadzi do trzeciego jazu, celu codziennych spacerów tylu już cieszyńskich pokoleń. Rozprasza smutek i ponure nastroje widok wyrastających tuż za Cieszynem cudownych stoków Beskidów, ich ciemniejących u góry lasów, i jaśniejących poniżej pól i łąk.

Szczególnie pięknie jest tu z wiosną, która rozbrzmiewa w rozkrzyczanym chorze ptaszęcego śpiewu, wykwita w świeżej zieleni jakże rozrosłej w ciągu tych sześciu lat nie widzenia drzew i krzewów.

Minęła wiosna, kończy się lato. Nadchodzi jesień, przyjdzie zima. Ale po niej przecież znowu wróci wiosna. Czy nie przyniesie wreszcie i Cieszynowi lepszych dni, — czy nie ucieszy się wreszcie moje smutne, rozcięte na dwoje miasto Cieszyn?

Kazimierz Popiołek

Książeczka o pacyfikacji

Profesor Uniwersytetu Wrocławskiego Stanisław Rospond napisał i wydał maleńką książeczkę pt. „Zginęli na polu chwały“. Mowa w niej jest o przebiegu pacyfikacji niemieckiej w dwóch wsiach podkrakowskich w Liszkach i Kaszowie. Na samym początku autor zaznacza, że opis choć ujęty w formę reportażu, ma charakter ściśle dokumentaryczny. Wszyscy prawie przeżywaliśmy rzeczy podobne to też bez zastrzeżeń przyjmujemy autentyzm opisu. Opis jest straszny, bo przeżyta i opisana przez autora pacyfikacja była jedną z najgorszych, jaka dotknęła wieś polską. Opis, choć nie rezygnuje z formy literackiej, utrzymuje się ściśle w granicach realiów — jest to więc z jednej strony sugestywny wizerunek zbrodni niemieckiej, z drugiej zaś cenny dokument.

Wśród dołączonych nazwisk pomordowanych spotykamy dwóch młodych Ślązaków, maturzystów z Rybnika, 22-letniego Stanisława Piechoczka i 20-letniego Ryszarda Skudrzyka. Obaj zginęli w Liszkach po okropnych, dokładnie przez autora opisanych, męczarniach.

Broszurę ozdobił dwoma rysunkami J. Czechowicz. **Rzecz nadaje się do masowego kolportażu.** Nakładcą książeczki jest Komitet Budowy Pomnika Pomordowanych w Liszkach i Kaszowie, który zbiera także ofiary na rzecz pomnika (konto PKO IV-4444). **Brz.**

Glossy i notatki

Uczcijmy tych z redakcyjnego kosza

Nikt o nich nie wspomina. Zaledwie w odpowiedziach redakcji: „Nie skorzystamy, za słabe, należy wiele pracować". Warto ich raz przynajmniej uczcić. Nie za to, jak piszą, lecz za to, co piszą. Wielcy poeci dzisiaj brzydzą się powieścią poetycką, wykpiwa ją gdzie może Przyboś, sam liryk i tylko w liryce widzący sens i istotę poezji. A ci z kosza redakcyjnego „Odry" uparcie wracają do epiki, do gawędy poetyckiej, do wierszowanego opowiadania i listu. Nie gańmy ich za to, bo brzydko opisują rzeczy piękne, uczucia niezwyczajne, w każdym razie obce wielkim lirykom poetyckiego aeropagu polskiego.

Obywatel Michał W. przebywa teraz w szpitalu Spółki Brackiej (dobra instytucja, o której warto więcej napisać), gdzie będzie „jesce pora tydni". I pisze wiersze. Okropne wiersze i okropne poematy, prymitywy bez wdzięku ale szczere i ciekawe. Opisuje oblężenie Wrocławia anno 1945, ucieczkę z pałającego się miasta, dostając się

...dość scęśliwie na stacyjo,
Bo juz do nij Rusy biją.

Są tu i rymy „polityczne" w rodzaju dwuwiersza o Hitlerze:

Wielkie Nimcę mu zabrali
I kolegów powieszali...

i dowcipny opis ogrodu zoologicznego, do którego wreszcie przyleciał Orzeł Biały, który

Skrzydła w górę wzniesie
I dobre czasy przyniesie.

Cenne są te prymitywne zwierzenia Ślązaka, rymownika nie tyle z Bożej łaski ile z potu własnego. Cenniejszy jest wiersz inny, zatytułowany: „Skarga ludu śląskiego". Autorem jest Opolanin. Wiersz kończy się słowami:

Dzisiaj miast cieszyć się wolnością ukochanej ojczyzny,
Musimy białe opaski nosić, bo zaliczają nas do niem- [czyzny,
Musimy składać podania i różne prośby rehabilitacyjne,
Bo naszą wiarę, mowę, dzieje i czyny traktuje się [gorzej — jak partie reakcyjne.

Warto się nad tymi słowami zastanowić. Jest jakaś prawda w tej skardze napisanej niezłą polszczyzną.

Brz..

Winien czy niewinien?

W numerze 252 „Robotnika" z 13. 9. br. Jacek Jantar uchyla rąbka tajemnicy otaczającej śmierć znanego aktora Junoszy Stępowskiego, który, jak twierdzi autor artykułu, opętany przez kobietę-szpiega Heinrichowa dopuścił się zdrady i zginął z wyroku sądu podziemnego. W rewelacjach Jacka Jantara dostrzegamy pewne nieścisłości, dotyczące komunikatów „gadzinówek" na temat tej śmierci. Nie o te drobiazgi jednak nam chodzi. Rok temu, niżej podpisany, w rozmowie z jednym z wtajemniczonych ludzi teatru, postawił pytanie: jak to było ze Stępowskim? Odpowiedź brzmiała: Hm... mieliśmy rozpocząć proces rehabilitacyjny, ale... lepiej chyba dać spokój.

Ta, niejasna zresztą, wypowiedź, artykuł Jantara, wskazywały by, że Stępowski zginął zasłużenie.

A tymczasem..

W rozesłanych w maju „Redakcjom i Urzędom" materiałach, dotyczących własnej osoby Tymoteusz Ortym na str. 15 elaboratu, w „post scriptum", pisze: „Wszelkimi wyjaśnieniami, informacjami o teatrze podczas okupacji, służę w każdej chwili. Będzie to materiał prawdziwy, oparty na faktach i dowodach. M. in. posiadam wiarygodne — ponad wszelką wątpliwość — dokumenty o niewinnie potępionym i zastrzelonym K. Junoszy-Stępowskim".

Sprawa się gmatwa. Kto ją powinien wyjaśnić — chyba ZASP. Niestety ludzie teatru wolą milczeć tajemniczo.

Malicka woła w sądzie: „Mogła bym grać w teatrze (w znaczeniu: zostałam zweryfikowana — p. a.) gdyby nie ta brzydka sprawa o szaber".

Krążą pogłoski, że weryfikacji doczekał się Dymsza. Cóż kiedy to wszystko plotki, ploteczki... oficjalnie „cisza wokoło". A to źle. Bardzo źle. Niezdecydowany stosunek ZASPU do tego, poważnego zagadnienia sprzyja powstawaniu wersji szeptanych, które mogą tylko szkodzić teatrowi. **(m)**

Przegląd prasy

Dwa popularno - naukowe periodyki śląskie o charakterze kulturalnym nie mogą jakoś nabrać rozmachu i rozpocząć normalnego żywota. Kwartalnik **„Zaranie Śląskie"** wyszedł w roku 1945 jako rocznik, w roku bieżącym za pierwsze półrocze wyszedł numer podwójny a zapowiadanego na trzeci kwartał pierwszego normalnego zeszytu dotychczas jeszcze nie ma. A byłby już czas najwyższy, by po półtorarocznej działalności Instytutu Śląskiego ten jego oficjalny organ, mający swoją piękną tradycję, którego piętnaście roczników stanowią bogatą kopalnię wiedzy o Śląsku — zaczął wreszcie wychodzić regularnie i spełniać tę rolę, jaką spełniał tu przed wojną. Podobnie i wrocławsko - jeleniogórski miesięcznik **„Śląsk"** wydaje już drugi z kolei numer podwójny, stając się w praktyce dwumiesięcznikiem. Składają się na to zapewne trudności natury redakcyjno-wydawniczej, a szkoda, bo tego rodzaju fakt nie przyczynia się do zaprowadzenia czasopisma na rynku i utrwalenia jego pozycji.

„Śląsk" utrzymuje się w typie pisma naukowo-popularnego o przewadze zainteresowań historycznych i ogólno-kulturalnych. Ma zapewnioną współpracę wrocławskiego środowiska uniwersyteckiego oraz szczupłego grona literatów, którzy na Dolnym Śląsku osiedli. W treści samej nie przynosi zasadniczo rzeczy nowych, ale poruszane tematy są interesujące i godne szerszej popularyzacji. Jest pismem sympatycznym przez atmosferę serdecznego i bliskiego stosunku autorów do spraw Śląska przez nich poruszanych, przez ukazywane na swych łamach więzy, jakie zadzierżgnęły się już pomiędzy ludźmi kultury a nowym terenem ich życia i pracy. Jest w tym piśmie i w jego współpracownikach coś z gorliwości neofitów — przy czym określenie to należy uważać za pozbawione jakichkolwiek akcentów złośliwości czy ironii. Nie ulega wątpliwości, że jest pismem pożytecznym i godnym tego, by je na Śląsku i poza Śląskiem znano i czytano. Prowadzi bowiem systematyczną pracę w kierunku ukazywania i podkreślania w przeszłości i teraźniejszości Śląska tego wszystkiego, co stanowi o jego polskości i jego dawnej i nowej łączności z krajem. A czyni to spokojnie, rzeczowo, można powiedzieć z godnością, bez hasełek, patosu i widoków na doraźne efekty.

Okładka ostatniego zeszytu **„Śląska"** (5/6) jest bodaj najbardziej udana ze wszystkich dotychczasowych. Stanowi doskonałą reprodukcję fragmentów sarkofagu księcia Henryka IV. Ilustracje okładkowe należą do ważnego dla każdego Polaka, który poznaje i poznawać będzie Wrocław, artykułu **Marii Majewskiej** o najstarszych zabytkach polskich tego miasta. Równie interesujący z tytułu jest arykuł **Franciszka Kackiego** pt. „Osadnicza działalność chłopów śląskich w XVI w.", ale niestety napisany jest tak nieudolnie, że czytelnik nie odnosi z jego lektury żadnego obrazu zagadnienia i żadnej korzyści. Artykuł **Stanisława Kolbuszewskiego o ks. Andrzeju Gałce z Dębczyna**, heretyku i pisarzu religijnym w XV w., który ścigany za głoszenie nauki Wicklefa, znalazł schronienie na Śląsku na dworze księcia Bolka V, nosi niestety cechy przykrej maniery stylistycznej. Relacja **Tadeusza Mikulskiego z pobytu Felicjana Faleńskiego we Wrocławiu** oparta jest na materiale nieciekawym. Słusznie stwierdza autor nawiasowo, że wrażenia Faleńskiego z Wrocławia „dziś jeszcze są obojętne". Spotkanie Wincentego Pola z tym miastem, opisane w n-rze 3 przez tego samego autora, było znacznie bardziej interesujące nie tylko na dziś, ale i w ogóle. Cenny i dobry artykuł **o wrocławskich studiach Ignacego Chrzanowskiego dał Władysław Czapliński.** Uczniowie krakowskiego profesora i ci, którzy go znali, przeczytają ten artykuł ze wzruszeniem. Autor, opisując pożegnanie Chrzanowskiego na dworcu wrocławskim przed jego wyjazdem z tego miasta na dalsze studia do Berlina, komentuje: „Czyż mógł się spodziewać Chrzanowski, że czterdzieści siedem lat później przyjdzie mu powitać ten dworzec i to miasto jako przedostatni etap w swej drodze na Kalwarię, że otoczony ze swoimi kolegami kordonem policji, stanie się przedmiotem urągowiska i wyzwisk oszalałej publiczności niemieckiej, znajdującej się przypadkowo na dworcu?" Dobrze pomyślany jest cykl **„Postacie śląskie"**, reprezentowany w każdym numerze jedną lub dwiema sylwetkami wybitnych Polaków śląskich. W cyklu tym omówiono już m. in. Józefa Lompę, Piostra Włosta, biskupa Nankera a w ostatnim zeszycie brata Benedykta Polaka, posłującego w połowie XIII w. do chana tatarskiego, oraz światowej sławy pszczelarza śląskiego, ks. Jana Dzierżonia. Omawiany numer uzupełnia artykuł **Zdzisława Hierowskiego** o drogach literatury śląskiej, dający krótki, syntetyczny rys dziejów piśmiennictwa polskiego na Śląsku. Niestety, chyba nie na rachunek zasług redakcji należy policzyć artykuł **Ludwika Łakomego,** który zajmując się etymologią słowa „Śląsk", „Ślązacy", wywodzi te nazwy od żelaza. Niewiadomo, czy tym niedorzecznym dowodem zechcą zająć się nasi językoznawcy.

Redakcja „Śląska" nie może się pogodzić z niektórymi nowo wprowadzonymi przez Komisję Ustalania Nazw przemianowaniami miejscowości na Dolnym Śląsku. Rozpoczęta w tej sprawie w nr 2 dyskusja i polemika jest kontynuowana w nrze 5/6 i wydaje się, że w niektórych wypadkach „Śląsk" ma rację i posługuje się przekonywującymi argumentami. Ale czas już najwyższy, by skończył się wreszcie ten stan dyskusyjny i płynny w nazewnictwie dolnośląskim.

Z notatki w „Śląsku" dowiedzieliśmy się pewnej przykrej historii. Oto pałacyk po zmarłym Gerharcie Hauptmannie został na wniosek Dolnośląskiego Oddziału Zw. Zaw. Literatów Polskich ofiarowany przez starostwo jeleniogórskie Leopoldowi Staffowi." Z niewiadomych bliżej powodów — pisze „Śląsk" — zmieniono tę decyzję starosty i pałacyk został przekazany T-wu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej z przeznaczeniem na dom wypoczynkowy dla członków tej instytucji". O ile wiemy członkami Twa są ludzie pracujący i mogący tym samym korzystać z akcji wczasowej Związków Zawodowych, w których są zrzeszeni. A jeśli chodzi o pracowników Towarzystwa, to chyba mogli sobie znaleźć inny obiekt, niż ten, przeznaczony dla nestora poetów polskich zniszczonego powstaniem warszawskim. Chcielibyśmy wiedzieć, **kto i w oparciu o jakie przesłanki** spowodował odebranie Staffowi willi po Hauptmannie. Rzecz warta wyjaśnienia, jeśli nie mamy stracić wiary w zapewnienia o popieraniu pisarzy przez państwo. Domagać się musimy tego wyjaśnienia i dlatego, że sprawa dotyczy jednego z najświetniejszych poetów polskich, że ta zmiana decyzji jest dla niego ubliżająca.

Wznowiony **„Przednówek" Pawła Kubisza** spotkał się z dużym zainteresowaniem. W **„Warszawie"** recenzował go ostatnio Antoni Madej, zbył jednak mało poświęcając uwagi samej książce. **„Wieś"** poświęciła „Przednówkowi" całą stronę, dając obok recenzji **Stefana Lichańskiego** przedruk artykułu **Józefa Czechowicza** z „Ateneum" (nr 1 r. 1938). Czechowicz interesował się żywo poetami śląskimi. On pierwszy powitał serdecznymi słowami oprócz Kubisza pojawienie się talentów Szewczyka i Baranowicza w artykułach nacechowanych taką życzliwością, jakiej nie spotyka się niemal w recenzjach poetyckich pisanych przez poetów. O Kubiszu Czechowicz pisał: „Przednówek" ma jędrny smak epiki, co od razu daje do zrozumienia, że nie gra on melodiami, lecz jest czymś konkretnym, twardym jak dłonie górników. A są to wiersze o buntach przeciw uciskowi, o nędzy górskiej o chwale czasu zbójnickiego, o bijatyce w karczmie, o tych, co poszli „za chlebem". Sprawy owo Kubisz opiewa mocno, mroczno, surowo. Czytając, wie się od razu, że to nabrzmiałe cierpieniem słowa tamtejszego człowieka, autochtona. Kto inny nie czułby tak śląskich bied, mógłby im najwyżej współczuć. Jeśli o kim można powiedzieć, że wypowiedział rozpacz ludu tamtejszego, to chyba o Kubiszu, ciosającym wiersze toporem, wiersze ciemne, pełne czekania, że wreszcie będzie inaczej, pełne porywania się ku jutru. Głoszą one nie tylko dolę śląską, ale więcej: ludzką".

Dziś po latach dziesięciu blisko, wiersze te nie są jeszcze historią. Ich czekanie i porywanie się ku jutru jest nadal boleśnie aktualne.

W nrze 4. poznańskiego dwutygodnika **„Zryw"** zwraca uwagę obszerny i sumienny artykuł J. Frąckowiaka pt. „Zadania administracji politycznej na Ziemiach Zachodnich". Niemal wszystkie sformułowane tu postulaty są przemyślane i słuszne, ale w praktyce wchodzą one przeważnie w zakres pobożnych życzeń. Oto próbki: „Nie można sobie wyobrazić umiejętnego kierowania żywiołem, którego cech rozwojowych stałych i zmiennych dokładnie nie znamy lub nie umiemy od siebie odróżnić, i którego reakcje nas zaskakują. Dlatego nieodzowną podstawą działania administracji politycznej jest wiedza przynajmniej ogólna o cechach żywiołu, im zaś wiedza ta jest głębsza, tym dogodniejsze są warunki dla trafnych syntez w sytuacjach społeczno-politycznych i gospodarczych, tym lepsze są warunki ferowania szybkich i względnie nieomylnych decyzji." Albo na temat fachowości: „Niezwykłe warunki, w jakich znajdują się ziemie odzyskane, wymagają niezwykłej sprawności i inicjatywy fachowej. Każdy rok eksperymentów personalnych jest tu stracony dla racjonalnej odbudowy społecznej i gospodarczej. Ziemie odzyskane winny być przy wykorzystaniu wszelkich możliwości obsadzone na stanowiskach administracji politycznej jednostkami o sprawdzonych kwalifikacjach zawodowych i to przede wszystkim tam, gdzie styka się ona z żywiołem swoim bezpośrednio, tj na szczeblu pierwszej instancji".

Tak być powinno... **(ki)**

Materiały farbuj tylko barwnikiem

»ORION«

bo jest gwarantowany i daje trwe i piękne kolory.

Do nabycia we wszystkich drogeriach i składach farb. — **Składnica fabryczna: Katowice, ul. Starowiejska 3, tel. 354-64** 81

Co robią Niemcy

Już wiemy, jakie są **skutki działania ducha Schumachera.** Prasa polska przyniosła wiadomości o **proteście polskim w Berlinie przeciwko redakcjom pism berlińskich „Telegraf" i „Sozialdemokrat" oraz „Spandauer Volksblatt".** Trzy te pisma w swych wydaniach z dn. 15 września zajęły się stosunkiem Polaków do wysiedlanych z Ziem Odzyskanych Niemców oraz do Żydów. Wszystkie te pisma, jak na komendę, postępowanie polskie nazwały **barbarzyńskim, porównując je do zbrodni dokonywanych przez zbrodniarzy norymberskich.** Oto do czego prowadzi prawo krytyki, jakiego alianci nieopatrznie udzielili, a z którego pierwszy skwapliwie skorzystał Schumacher.

Protest Polski, nie odmieni, być może, biegu dziejów. Nie przeciwstawi się skutecznie wzrastającemu szowinizmowi i nienawiści wśród Niemców. Chce on być tylko ostrzeżeniem dla odpowiednich czynników kontrolnych w Niemczech, reprezentowanych przez narody sprzymierzone.

Jakiekolwiek formy przybierze współpraca polsko-niemiecka, będzie ona **trudna choć konieczna.** Rzecz jasna, że stosunki polsko-niemieckie na dłuższą metę nie dadzą się utrzymać w stanie dzisiejszym. Żałować należy, że **polskie czynniki oficjalne dotąd nic nie uczyniły w kierunku propagandy polskiej wśród Niemców.** Należało dawo już pomyśleć o stworzeniu w Berlinie **dziennika w języku niemieckim, który by informował Niemców rzeczowo i spokojnie o naszych osiągnięciach i prawach.** Dopóki Niemcy były silne i zwycięskie, nie mogło być mowy o współpracy polsko-niemieckiej, wszelkie korzyści bowiem z niej odnosili oni. Dziś jest czas na taką współpracę, — **piszę: współpracę a nie przyjaźń** — dziś trzeba ją zapoczątkować. Myli się ten, kto sądzi, że ich dzisiejszy sąd o Polakach kształtuje się na podstawie Odry i Nysy, wysiedleń lub nawet na podstawie średniowiecznego bodajże powiedzenia o „ponische Ordnung". Oceniają nas Niemcy wciąż jeszcze **według rasistycznej formułki o narodach nadwartościowych i bezwartościowych.** Przeciwko temu nastawieniu nic nie wskórają protesty, a wiele natomiast uczynić może umiejętna propaganda. Propaganda w języku niemieckim. Ministerstwa spraw zagranicznych oraz informacji i propagandy powinny były już o tym dawno pomyśleć. I znowuż — gdyby projekt ten został zrealizowany, w co trudno tak od razu uwierzyć — trzeba by do pracy tej posadzić prawdziwych znawców Niemiec, urodzonych na Ziemiach Zachodnich.

Na razie jednak głucho o takich planach. Na razie **Niemcy wciąż o nas nic pozytywnego nie wiedzą,** nie znają naszego wysiłku ani nawet całej prawdy o naszej sześcioletniej męce. To też pogląd ich na nas nadal zabarwiony jest **osobliwym szowinizmem,** a uzewnętrznia się to już nawett, jak widzimy, na łamach prasy niemieckiej.

Ostatecznie Niemcom materialnie **nie powodzi się** źle i dlatego myśl ich, uwolniona od wielu trosk, tak pewnie wkracza w dziedziny krytyki politycznej.

Urząd Statystyczny miasta Berlina ogłasza od niedawna ciekawe miesięczne wykazy wydatków, jakie poszczególni niemieccy posiadacze kart żywnościowych ponoszą na zakup towarów kartkowych. Przy okazji warto nadmienić, że Niemcy otrzymują na kartki prawie wszystko, co im jest potrzebne do codziennego wyżywienia. I tak ciężko pracujący, których przydziały są najobfitsze, wydali w miesiącu grudniu 1945 — 21,28 RM, urzędnicy 12,33 RM, wolne zawody 10,61 RM. **Koszty wyżywienia wynosiły zatem przeciętnie 15 proc. miesięcznych zarobków.** Od stycznia br. koszty te nieznacznie się zwiększają a to na skutek dodatkowych przydziałów jak keksów, sztucznego miodu, marmolady, owoców. Stosunkowo duże są koszty wyżywienia niemowlęcia, wynoszą bowiem 15,88 RM miesięcznie. Jedna trzecia tych kosztów jednak stanowi przydział mleka.

Ile kosztuje jedna kaloria — to dalsze pytanie, które można rozstrzygnąć na podstawie cyfr Urzędu Statystycznego w Berlinie. Ciężko pracujący, którym przydziela się dziennie 2400 kalorii, za jedną markę otrzymują aż 3290 kalorii. Potem kalorie są co raz tańsze, tak że wolne zawody za jedną markę otrzymują 4100 kalorii. Powód leży w tym, że ciężko pracujący otrzymują nie tylko więcej kalorii, ale i wartościowsze. **Jedna kaloria u ciężko pracującego kosztuje zatem 0,03 fenига.**

Na dodatek podamy jeszcze ceny artykułów żywnościowych w Berlinie. Sumy odnoszą się do jednego kg:

chleb pszenny	0,60 RM
chleb żytni	0,44 RM
mięso	1,75 RM
masło	3,60 RM
margaryna	1,96 RM
mąka pszenna	0,46 RM
cukier	0,78 RM
kartofle	0,12 RM

Przypominamy ciągle, że 90 proc. Niemców żyje z kartek żywnościowych, nieliczni tylko **dokupują** niektóre produkty na czarnym rynku, który jest bardzo tętniący.

Pracownicy kultury otrzymują w Niemczech najwartościowsze kartki żywnościowe oraz częste specjalne przydziały żywnościowe. Zarejestrowanych pracowników kultury jest w strefie radzieckiej 16 tysięcy, w angielskiej — 9 tysięcy, w amerykańskiej — 1800 i we francuskiej 1500. Uderza ogromna ich liczba w strefie radzieckiej. Istotnie, **bardzo żywe jest tu tętno życia kulturalnego.** Berlin promieniuje jak za dawnych dobrych czasów, wysoko stoi radiofonia, na której politykę artystyczną wyłączny wpływ mają Niemcy, żywo przyjmuje się prasa. Wydaje się zresztą, że w strefie radzieckiej łatwiej jest o papier.

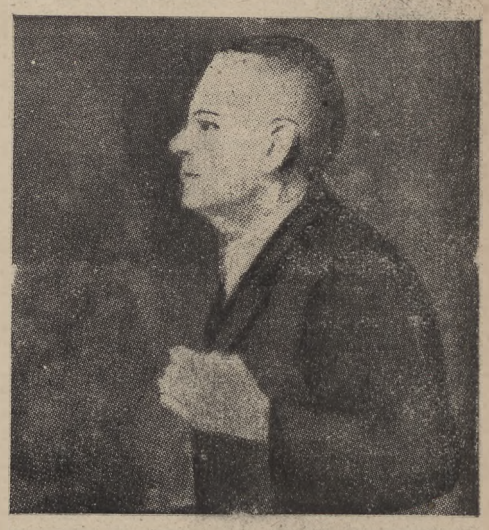

Schumacher Kurt, jednoręki wódz socjaldemokratów niemieckich, występujący agresywnie przeciwko granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Na zdjęciu Schumacher w czasie przemówienia w Hamburgu.

Żywo zaczynają się ostatnio prezentować malarze. Do niedawna pisało się w gazetach niemieckich o upadku malarstwa niemieckiego, teraz nowiny są coraz cieplejsze. W Berlinie w ciągu jednego miesiąca czynnych było **aż 13 wystaw malarskich.** Z ciekawszych — **Oskar Nerlinger** pokazał ponad 30 akwarel i rysunków. Dominował krajobraz, od Haweli po Wogezy. Za najdojrzalszy krytyka niemiecka uznała „Burzę na równinie reńskiej". **Alicja Lex-Nerlinger** wystawiła cykl rysunków „Na drogach niemieckich 1945". Jak sam tytuł cyklu wskazuje były **to rysunki o klęsce,** ale pokazywały ją perfidnie od strony matki

„Wiązanie snopów" Oskara Nerlingera także było na wystawie w Berlinie. Widać tu, jak zresztą na większości jego rysunków, zarówno zgryźliwość obserwatora jak i marzycielstwo idyllisty.

płaczącej nad trupem dziecka, zastrzelonego przez nieprzyjacielskie samoloty, od strony starców z obdartymi od marszu nogami. Wspomnieć warto tutaj jeszcze **Aleksandra Kamaroffa,** którego sztuka grawituje między lekką elegancją Henri Matiss'a a ciężkimi wizjami Edwarda Muncha. Wreszcie rzeźbiarz **Gustaw Seitz.** Uważa się go za spadkobiercę wielkiego Maillola, choć przyznaje się, że różnica jest taka, jaka zachodzi między winem reńskim a białym burgundem. **wisz.**

Patrzymy na ekran

Królewna Śnieżka opuściła nas znowu. Wróci jednak na pewno — kobiety zawsze wracają. Natomiast „Jaśnie panu szoferowi" doskonale się w Katowicach wiodło. Ileż ludzi kilkakrotnie, w przeciągu krótkiego czasu oglądało tę bzdurę, zachłystując się pseudo-atmosferą pseudo-arystokracji. Ale przecież znamy tych zawodowych oglądaczy zwłok i wywłok filmowych. To przecież ci sami, którzy podczas oglądania „Skarbu rodziny Goupi", protestowali głośno przeciw „francuskim naciągaczom", którzy produkują, którzy ośmielają się wyprodukować obrazy nie mogące się zmieścić w ciasnym i ograniczonym (dosłownie i w przenośni) — polu widzenia — tychże oglądaczy.

Ale dość o nich. Nie psujmy sobie humoru. Zagadnienie to omówimy zresztą jeszcze przy innej sposobności i w innej skali. Zajmijmy się raczej krociutko naszym bieżącym repertuarem kinowym. — Po „Trzech przyjaciołach" (kino „Union"), wraca na ten ekran film już wyświetlany w Katowicach, a to: sensacyjne: „Ręce zawiniły". Oby tylko kopia nie była tak zdarta, jak w poprzednim obrazie. — Równocześnie też wchodzą na nasze ekrany dwa interesujące filmy, mianowicie „Studentka" (według powieści Vicki Baum — w kinie „Zorza"), oraz ciekawy obraz, francuskiej produkcji przedwojennej: „Niebo jest dla was..." (kino „Casino"). — Przypuszczamy, że wszystkie te filmy będą się cieszyły dużym powodzeniem.

Na zakończenie, jak zwykle parę ciekawszych wiadomości ze świata filmu. — Otóż, jak się okazuje, wszyscy nasi sąsiedzi pracują już na polu filmowym pełną parą. Ostatnio Węgrzy nakręcili dwa pełno-metrażowe obrazy, a to: „Nauczycielka" oraz „Złote godziny". O miedzę dalej — w Austrii, wyprodukowano również dokumentarny film pt. „950 lat Austrii".

Równocześnie też pracują obiektywy słowackie, czeskie a nawet niemieckie. I to jak pracują. Oczywiście nie wspominamy w ogóle o produkcji angielskiej, sowieckiej czy amerykańskiej. Dla równowagi nie wspominamy również o... polskiej.

Sławny już dzisiaj w całym świecie film produkcji szwajcarskiej (wykupiony zresztą przez amerykański koncern filmowy): „Ostatnia szansa" został ostatnio przetransponowany na radiowe słuchowisko. Niedawno nadano je z rozgłośni angielskich. Mimowoli nasuwa nam się tu melancholijna uwaga, że może trzeba by nadać i w Polskim Radio słuchowisko pt. „Zakazane piosenki", aby przynajmniej w ten sposób zrealizować nieustanne pogróżki naszej produkcji filmowej. Szkoda tylko że nie rozporządzamy jeszcze telewizją. Może wreszcie nowy, powojenny, polski film znalazł by swój ekran, swoich producentów i swoich, ileż już razy — okpiwanych — widzów. **Alba.**

„Odra" winna się należć na stole każdego uczonego, pracownika umysłowego oraz w każdej świetlicy. „Odra" jest wykładnikiem przeszłości, życia i woli Ziem Odzyskanych.

Redaguje komitet. Red. naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3 Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawn. „Czytelnik" Katowice, 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawn. „Czytelnik"

R 17216